Dr. Kowalski Edward
Poznań
Daszyńskiego 100 m. 6

Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 27 sierpnia 1950 r. | Nr 34 (248)

Aleksander ROGALSKI

PROTESTANTYZM NIEMIECKI

Nie dziwię się zupełnie księdzu Janowi Piwowarczykowi, że tyle uwagi poświęca protestantyzmowi dzisiejszemu, czego daje wyraz w interesujących swych artykułach, umieszczanych na łamach „Tygodnika Powszechnego" — mam szczególnie w pamięci jego artykuł zatytułowany „Jedność Kościoła" (Tyg. Powsz. 279/50). Albowiem procesy dokonujące się w łonie protestantyzmu mogą posiadać olbrzymie znaczenie dla kształtującej się nowej fizjognomi duchowej świata. A trzeba powiedzieć, że niebywałych rozmiarów przełom zaznaczający się dzisiaj niemal we wszystkich dziedzinach życia na całym świecie, wyjątkowo wyraźnie daje się zauważyć w protestantyzmie. Dzieje się w nim naprawdę dużo rzeczy, choć są one dalekie jeszcze od jakiejkolwiek krystalizacji.

W niniejszym artykule zajmę się wyłącznie protestantyzmem niemieckim, który niewątpliwie odgrywa centralną rolę w protestantyzmie światowym, choćby z tego względu, że Niemcy są ojczyzną Reformacji. Oczywiście o jakimś szerszym, bardziej wyczerpującym potraktowaniu tematu mowy tu być nie może, nie tylko dlatego, że potrzebne byłoby w takim wypadku bardziej kompetentne pióro, ale również dlatego, że niezbędne byłoby rozporządzanie bardziej wszechstronnym i pełnym materiałem informacyjnym, nie zaś cząstkowym i przypadkowym. Ograniczę się przeto do zwrócenia uwagi na kilka momentów czy faktów nie pozbawionych, jak sądzę, pewnego znaczenia.

—::o::—

Byli przed drugą wojną światową publicyści i politycy, którzy wieścili rychły koniec protestantyzmu, opierając się na uderzających objawach jego wielkiego rozkładu we wszystkich prawie krajach. To, co robił z Kościołem protestanckim Hitler i co działo się z Kościołem protestanckim w Niemczech w czasie drugiej wojny światowej, zdawało się potwierdzać słuszność owych przewidywań. Założenie przez Hitlera posłusznej mu we wszystkim „Staatskirche" z „Reichsbischop'em" Muellerem jako jej głową, stawiało pod znakiem zapytania istnienie protestantyzmu niemieckiego nawet na najbliższą przyszłość. Tymczasem okazało się, że była w Kościele protestanckim w Niemczech pewna mniejszość, tzw. „Bekennende Kirche", która nie zgięła kolan przed Baalem i która odważnie walczyła o swoją wiarę z władcami Trzeciej Rzeszy, nie lękając się nawet męczeństwa. Odłam ten ze względu na swą dynamikę i wartości moralne stał się głównym ośrodkiem ruchu odrodzeńczego w protestantyzmie niemieckim po wojnie tym bardziej, że jednocześnie i sam trzon Kościoła protestanckiego w Niemczech nazajutrz prawie po klęsce Trzeciej Rzeszy zdawał się nadspodziewanie szybko powracać z martwoty do życia: zgalwanizowała go nagła wolność i swoboda duchowa, jaką przyniósł pokój.

Ażeby jednak nie zdawało się, że sytuacja uległa radykalnej poprawie, trzeba od razu powiedzieć, że Kościół ewangelicki (przynajmniej w pierwszym okresie po wojnie) nie wykazał świadomości czekających nań zadań i zagrażających mu niebezpieczeństw, które wypływały z tak nagłego przejścia z niewoli i dyktatury do nieograniczonej swobody. Przedstawiciele tego Kościoła ujawniali chęć przekreślenia tych dwunastu złych lat lub przeskoczenia przez nie. W produkcji wydawniczej tych czasów czołowe miejsce zajęła literatura religijna. Rynek księgarski zalany był drukowanymi kazaniami, odczytami, traktatami, orędziami i pobożność stała się prawie modą. Roiło się od tanich recept na wszelkie niedomagania i niedole, nawet gospodarcze, podawane w formie odpowiednio spreparowanych wskazań nauki chrześcijańskiej.

Lecz w tym rozgardiaszu zwolna zaczęła sobie torować drogę poważna myśl teologiczna, która próbowała wyciągnąć należyte wnioski z ciężkich doświadczeń, jakie przeżyła niedawno ludzkość i dobrze umiejscowić misję chrześcijaństwa w dzisiejszym czasie przewrotu i gwałtownego rozwoju wielu dziedzin życia. Wystarczy tu wymienić czasopismo berlińskie „Unterwegs", które potrafi łączyć doktrynalną wierność i czystość z językiem wolnym od klerykalnego nimbu i pobożnego patosu, który tak niestrawną czynił literaturę ewangelicką. Nowy też duch tchnie z dzieła sławnego szwajcarskiego teologa protestanckiego, Karola Barthа, pt. „Zasady dogmatyki" (Grundriss der Dogmatik — Sztutgart i Monachium).

Językiem bardziej politycznym i społecznym przemówiła Radą Bratnia Kościoła Ewangelickiego, gdy zajęła się oceną dotychczasowej drogi politycznej narodu niemieckiego (Flugblaetter der Bekennende Kirche Nr 8—10, Sztutgart). Odżegnała się ona wówczas stanowczo od tej służebnej roli, jaką Kościół ewangelicki pełnił w ostatnich dziesiątkach lat w państwie kapitalistycznym. Seria broszur „Kościół dla świata" (Kirche fuer die Welt — Sztutgart) wskazuje na zdecydowane odrywanie się Kościoła ewangelickiego od tradycyjnego, nie mieszającego się w sprawy tego świata chrześcijaństwa „światopoglądowego" po to, by właśnie włączyć się do współczesnej epoki i być ludziom pożytecznym w ich konfliktach, kłopotach i niedolach. Stąd staje przed Kościołem ewangelickim w Niemczech problem, który pewien publicysta niemiecki (Paul Schempp „Wirtschaftzeitung" nr 58 — 1948) sformułował następująco: „Albo Kościół służyć będzie światu tylko jako azyl dla dusz, nawołujący od czasu do czasu do zachowania formalnej chrześcijańskiej tradycji albo też kroczyć on będzie bezinteresownie i przykładnie wraz z ludzkością w jej rozwoju politycznym i gospodarczym, zachowując dobre sumienie teologiczne i zdolność do trzeźwego, rzeczowego sądu".

Na razie rozstrzygnięcie tego problemu w jednym lub drugim kierunku przesłania praca nad organizacyjną przebudową Kościoła ewangelickiego. Przygotowuje się nowe ustawy, nowe przepisy, nowe konstytucje, powołuje się do życia nowe formy organizacyjne, dyskutuje się nad nowym prawem kościelnym, nad zagadnieniem jedności Kościoła jako Una Sancta. W toku jest wielka debata teologiczna, obejmująca zagadnienia od chrztu dzieci do kościelnej ustawy podatkowej włącznie. Można również zauważyć przyswajanie sobie osiągnięć zagranicy w dziedzinie teologii protestanckiej. Ukazują się więc w przekładzie niemieckim prace takich osobistości jak Amerykanin Reinhold Niebuhr, jak Anglik Aleksander Miller („Chrześcijanin mówi „tak" do Karola Marksa"), Holender Berkhof, Szwed Törnwald oraz Szwajcarzy Barth i Brunner.

—::o::—

Jeśli idzie o immanentne przeobrażenie Kościoła ewangelickiego, to już w okresie międzywojennym, głównie poza granicami Niemiec, dawał się zauważyć ruch, który negatywnie zaczął się odnosić do dotychczasowej opisowej i „empirycznej" teologii oraz do liberalnego i niedogmatycznego chrześcijaństwa, jakie uprawiały Kościoły protestanckie, sam zaś dążył do radykalnej inwentury w teologii protestanckiej. Była to tak zwana „teologia kryzysu", która dawała krytykę kultury, krytykę religii i krytykę Kościoła, która na pozór była destrukcyjna, oddziałała jednak ożywczo i płodnie na protestantyzm, gdyż usiłowała uczynić przedmiotem teologii objawienie Boże zamiast przeżyć „religijnego człowieka" z jego subiektywizmem i relatywizmem.

Poczucie kryzysu Kościoła ewangelickiego znalazło po tej wojnie w Niemczech wyraz jeszcze bardziej dobitny i powszechny. Przepaść między biernie przyjmowanym bagażem tradycji protestanckiej a sytuacją, do jakiej doszła dzisiaj ludzkość w swym rozwoju duchowym, umysłowym i moralnym, jest tak wielka, że coraz bardziej zaczynają zdawać sobie z niej sprawę przywódcy protestantyzmu niemieckiego, gorączkowo szukając wyjścia z głębokiego kryzysu.

Pod tym względem niezmiernie interesująca była wypowiedź Hansa Asmussena, jednego z wybitnych przywódców protestantyzmu niemieckiego, ogłoszona w prasie niemieckiej pod koniec roku 1949 pt. „Das grosse Remis der Reformation". Jej waga, jak podkreślali komentatorzy, polegała na tym, że „poważny przedstawiciel Kościoła ewangelickiego uznał Reformację w przeciwieństwie do panującego powszechnie znaczenia nie za dzieło zupełnie dokonane i skończone, lecz za zadanie stojące w dalszym ciągu przed Kościołami chrześcijańskimi". (Stuttgarter Nachrichten, nr 220/49). Są w tej wypowiedzi wyraźne akcenty tradycyjnej nieprzychylności protestanckiej wobec Kościoła katolickiego, wyrażające się w równoległej krytyce i Jego i protestantyzmu, niemniej jednak ujawnia ona świadomość niemożności wyjścia Kościoła ewangelickiego z obecnego impasu bez pomocy ze strony Kościoła katolickiego.

Oto co pisze m. in. Hans Asmussen:

„Zapominamy często, że Reformacja wydarzyła się w czasach, gdy we wszystkich dziedzinach dokonywał się wielki przewrót. W czasie, gdy Luter bawił w Reichstagu w Worms, Cortez zdobył Meksyk. Między obydwoma wydarzeniami nie istnieją żadne widoczne związki, a przecież wiążą się one ze sobą. Współczesnym Lutra był Kopernik. Luter wiedział o jego działalności, ale nie zaakceptował wyników jego badań. Jednak wielkie dzieło astronoma wydał jeden z uczniów Lutra. We wszystkich dziedzinach ducha ludzkiego odbywał się w pełni przełom. Czyż nie jest błędem, iż przeważnie nie uważamy Reformacji za częściowy przejaw wielkiego przewrotu umysłowego, który ogarniał wówczas świat, ani nie staramy się zestawiać i łączyć wszystkiego, co się działo we wszystkich dziedzinach z Reformacją?".

Twierdząc, że Kościół katolicki czuł, iż się rzeczy gruntownie zmieniają, lecz że nie zdawał sobie on z tego sprawy, że postawiony został przed zupełnie nowymi zadaniami, że „nowe rozumienie człowieka i świata stawia znak zapytania przed Kościołem", Asmussen zaprzecza, by tę świadomość posiadał również Luter. „W ubiegłym wieku — pisze Asmussen — często tak przedstawiano sprawę, jakoby Papież był kościelnym eksponentem starego czasu, a Luter nowego". Ale to było błędne. I w tym dopatruje się Asmussen tragizmu Reformacji dla obydwu stron: protestanckiej i katolickiej, że ani Papież ani Luter nie zrozumieli, co oznacza dla Kościoła nowa epoka, że wyłączywszy sztukę (papiestwo) nie wyzyskali oni osiągnięć tej nowej epoki dla celów i zadań Kościoła. „Obydwaj mniemali, że reprezentują sprawę, która jest zasadniczo zupełnie niezależna od wewnętrznych procesów wieku. Obydwaj właśnie w tym punkcie oceniali rzecz fałszywie" — twierdzi Asmussen.

Fakt ten był jego zdaniem brzemienny w skutki, sięga on nimi aż do naszych dni. „Nowa epoka, jaka wtedy nastała, rozwinęła się dalej, lecz jej główne elementy nigdy nie zostały w pełni przyjęte przez Kościół ani też przeto nie zostały one przezeń wewnętrznie przezwyciężone. Dotyczy to zarówno jednego jak i drugiego wyznania".

Hans Asmussen uważa, że walka Papieża z Lutrem zakończyła się remisem, żaden z nich bowiem nie pokonał partnera stanowczo, i że w niczym się to do dziś dnia nie zmieniło: „Doniosłość tego stanu rzeczy pojąć jednak może tylko ten, komu wiadomo, że trzeci partner, mianowicie rozpoczynająca się wówczas nowa epoka — nie osiągnęła pojednania ani z Papieżem ani z Lutrem".

Rozważania swe Asmussen kończy następującą konkluzją:

„Ten remis między Kościołem a zaczynającymi się wówczas nowymi czasami leży jako przeszkoda na naszej drodze. Jeśli nie chcemy dopuścić do unicestwienia Kościoła, wówczas musimy wykonać pracę, która wówczas nie mogła być wykonana, mianowicie doprowadzić do końca, a tym samym do rozstrzygnięcia, rozgrywkę między światem a Kościołem".

Katolik łacno dostrzeże fałszywość i niesłuszność niejednego twierdzenia Asmussena w odniesieniu do Kościoła rzymsko-katolickiego. Warto jednak zwrócić uwagę na przejawiający się w jego wypowiedzi krytycyzm w stosunku do dzieła Lutra, traktowanego zazwyczaj przez protestantów jako t a b u; ważna jest świadomość potrzeby dokonania zasadniczego przeobrażenia wewnętrznego w Kościele ewangelickim.

—::o::—

Zejdźmy teraz z tych wysokich rejonów nieco niżej do bezpośredniej, konkretnej rzeczywistości i zajmijmy się orędziem Bratniej Rady tzw. „Behennende Kirche" (Der Reichsbruderrat der Bekennende Kirche) odczytanym z wszystkich ewangelickich kazalnic w Niemczech w ubiegłym roku w Dniu Pokuty, to jest 16 listopada, a skierowanym „nie w imieniu przedstawicieli jakiegoś ludzkiego światopoglądu lub programu politycznego, lecz w imie-

(dokończenie na str. 2)

Paweł JASIENICA

KRZYŻ I

Obowiązek rozszerzania wiary po wszystkie krańce ziemi istnieje dla katolików dokładnie od chwili założenia Kościoła. Cele i zadania są w tej mierze zawsze te same. Ale warunki, w jakich się ten obowiązek spełnia, ulegać mogą najbardziej radykalnym zmianom. Można wyrazić nie przypuszczenie, tylko absolutną pewność, że właśnie chwila obecna przynosi przemianę tak głęboką, iż niewiele podobnych znajdziemy w całej historii Kościoła. Pisząc to mam na myśli stopniową, ale w skali ogólnej dość szybką likwidację imperiów kolonialnych. „Biały" człowiek przestaje panować nad krajami, będącymi ojczyzną ludzi „kolorowych". A biały człowiek — to przecież chrześcijanin, bardzo często katolik. „Kolorowi" zaś to mahometanie, buddyści, szintoiści. Waga i zakres problemu są olbrzymie. Współczesne pokolenie katolików poniesie ciężką odpowiedzialność moralną, jeśliby w terytoriach zamorskich upadek sztandarów mocarstw kolonizatorskich miał być uważany za równoznaczny z upadkiem krzyża.

„ŚW. PAWEŁ DALEKIEGO WSCHODU"

Problem ten zaczęto rozwiązywać już dawno temu, wtedy jeszcze kiedy „prawo białego człowieka" posiadało w koloniach moc niewzruszoną.

Na wiosnę roku 1901, w Sajgonie, na wybrzeżu Mekongu zdarzyła się najzwyczajniejsza w tamtych stronach scenka. Długi sznur kolorowych kulisów podchodził do statku, który właśnie przybił do mola. Tragarze ci ładowali na grzbiety pakunki białych pasażerów. Na samym ogonie kolejki znalazł się starzec, którego wygląd symbolizował całą wschodnią, beznadziejną nędzę. Jeden z przybyłych, tknięty litością zawołał jego właśnie. Starzec podbiegł. Nieszczędne ciosy pałki europejskiego policjanta zawróciły go na miejsce.

Scena ta nie zwróciła niczyjej uwagi. A raczej — prawie niczyjej. Zauważył ją bowiem i na całe życie zapamiętał pewien młody zakonnik, który po raz pierwszy w życiu postawił wtedy stopę na azjatyckim lądzie. O. Wincenty Lebbe — chrzestne imię: Fryderyk — Belg z pochodzenia, z kultury i wychowania istny Francuz — otrzymał pożyteczną lekcję poglądową na temat: biali panowie — żółci „podopieczni", ich wzajemne stosunki i sposób „współżycia"!

Niesłuszne byłoby twierdzenie, że ten jeden człowiek sprawił i spowodował wszystkie zmiany w przeciągu ostatniego półwiecza zaszłe w położeniu katolicyzmu chińskiego. A nie są to bylejakie metamorfozy. Oto, co głosi statystyka:

W roku 1910 było 521 księży chińskich (w r. 1886 — 320), w r. 1930 — 1412, w r. 1940 — 2091 (dodajmy jeszcze, że na Synodach odbytych w Chinach: w r. 1880 uczestniczyło trzech księży Chińczyków, w 1886 — jeden, w 1892 i 1906 — ani jednego; wielu białych misjonarzy nie umiało wygłosić żadnej modlitwy po chińsku, 98 proc. biskupów nie znało języka swych diecezjan).

W roku 1926 Pius XI wyświęcił sześciu pierwszych biskupów chińskich. A oto dane z roku 1947: kardynał — prymas, dwudziestu arcybiskupów, dwudziestu ośmiu biskupów, siedemdziesiąt dziewięć diecezji. Obecnie istnieje nie żadna „misja zagraniczna" — tylko katolicyzm chiński.

Nie można, jak już wspomniałem, przypisywać tego wszystkiego działalności jednego człowieka. Ale prawdą jest, że rola jego była ogromna, naczelna. Historycy i biografowie nazywają o. Lebbe — „świętym Pawłem Dalekiego Wschodu". Dzieło, któremu ten misjonarz służył, tworzone było jakby w przeczuciu wielkich przemian mających nadejść.

O życiu jego i czynach informuje obszernie napisana w języku francuskim książka Leopolda Levaux: „Le père Lebbe, apôtre de la Chine moderne"*). Przedmowę do tego dzieła opracował J. E. ks. Ludwik Józef Kerkhof, biskup Liège, który nie uważając za własne wszystkich założeń autora, aprobuje jednak jego tezę i cel główny.

Ta „legitymacja" czyli powołanie się na nazwisko rzymsko katolickiego biskupa było potrzebne, by uwiarygodnić dane faktyczne, zaczerpnięte z tej książki, a dla niektórych metod misjonarskich wielce niepochlebne. Biskup bowiem nigdy by nie napisał wstępu do tomu zawierającego informacje kłamliwe.

Nie bez korzyści będzie też, jak mi się zdaje, dowiedzieć się, że w rozmaitych krajach katolicy pisują o sprawach katolickich bardzo otwarcie, śmiało i bez ogródek.

Odłóżmy na chwilę książkę o życiu i czynach o. Lebbe. Opowiada nam ona bowiem o rzeczach sprzed lat. Od tego czasu wiele się zmieniło, wiele pojęć uległo rewizji. Przed pół wiekiem, bezceremonialnie operowało się pojęciami takimi, jak biali — żółci. I wtedy oczywiście rozróżnienie takie nie miało żadnego głębszego uzasadnienia, ale powszechnie używane było. Dzisiaj każdy kto ma oczy ku patrzeniu widzi wyraźnie, że przeciwstawianie wszystkich białych — wszystkim „kolorowy" to jest fikcja. Nie warto raz jeszcze sięgać po przykład francuskich robotników strajkujących przeciwko wojnie w koloniach. Mamy bliżej przekonywające wzorce. Przypomnijmy sobie po prostu chłopa z naszych dawnych kresów. Skórę miał białą — niewątpliwie. Ale był przedmiotem eksploatacji na sposób całkiem podobny do kolorowego z kolonii. Ileż to zagonów miał ten chłop obrócić swoim lemieszem, ile kur wymacać i baranów ostrzyc, zanim sobie kupił najlichszy wyrób z fabryk, należących do zagranicznych karteli? Prawda — różnice istniały. Murzyn chadza goły — chłop nosi kożuch. Ale to już kwestia klimatu. Indianin na Alasce też nakłada futro.

Kraje gospodarczo zacofane, takie jak przedwojenna Polska, de facto też są koloniami, aczkolwiek ludność ich jest biała, rządy zaś i społeczne „szczyty" doznają rozmaitych uprzejmości.

Więc jeżeli dziś używamy londonowskiego zwrotu o „prawie białego człowieka" — to przecież pamiętajmy, że mowa o tym białym, który i u siebie w kraju należy do klas uprzywilejowanych (lub uprzywilejowanym służy). I odwrotnie — może na być „kolorowym", dzierżyć władzę i używać jej w interesie nie własnego narodu, tylko zamorskiej metropolii. Na tym właśnie polega zasada nowoczesnej polityki kolonialnej. Amerykanie podczas wojny szykowali się do objęcia monopolu handlowego w Chinach. Ale władzę tam sprawować mieli nie sami bezpośrednio (czasy Kiplinga przeminęły!) jeno rękami Czang Kai-Szeka i jego adherentów. Ten sam chwyt próbuje się stosować na Korei, w Indonezji, Vietnamie, Filipinach itp. To jest — powtarzam — obowiązująca dziś zasada, pokrewna zresztą odwiecznej rzymskiej maksymie: **divide et impera.**

O.Lebbe— zażarty rozbijacz fikcji podziału: biali — kolorowi — nie mógł oczywiście przewidzieć jakimi torami potoczy się rydwan imperializmu. Wiele rzeczy ujawniło się zresztą po śmierci misjonarza. Ale każdy, kto ocenia jego czyny z perspektywy dnia dzisiejszego, musi widzieć i uznać, że ten Belg był naturalnym sprzymierzeńcem chińskiego ludu, nie zaś tych „żółtych", którzy sami stali się dla własnego kraju czymś w rodzaju cudzoziemskiej pompy ssącej.

CZTERY „METODY"

Kiedy o. Lebbe, pełen zapału i najlepszych chęci, przybył do Chin — zdziwiło go i rozgoryczyło jedno od razu spostrzeżenie. Oto w zgromadzeniach duchownych, nawet zakonnych, najpoważniejsi księża Chińczycy z reguły brali miejsce za najmłodszymi konfratrami rasy białej. Nawet za takimi, którzy nie posiadali pełnych święceń.

Pięćdziesiąt lat temu rozszerzaniu wiary w Chinach służyły cztery „metody". Wyliczmy je po kolei, tak, jak to czyni autor powałnej książki.

I Metoda protekcyjna. Traktaty narzucone Chinom siłą protegowały misje. A więc misjonarz stawał się jednostką uprzywilejowaną i on z kolei protegował chrześcijan. W ten sposób tworzyło się jak gdyby „państwo w państwie". Metoda ta rozpowszechniona w całych Chinach i Mongolii doszła do szczytu w początkach tego stulecia, po powstaniu „Bokserów". Prowadziła do nadużyć i budziła taką nienawiść ze strony narodu chińskiego, że wreszcie zaczęto ją zarzucać.

„Jej zasada to był błąd, jej rezultaty to nieszczęście" — pisał o. Lebbe.

II Metoda „hiszpańska". Zwyczajny szantaż i przymus. Stosowana, na szczęście, względnie rzadko. Poszczególne wioski — po powstaniu „Bokserów" — obciążane bywały olbrzymimi kontrybucjami, pomyślanymi jako odszkodowanie za uszczerbki poczynione misjom, ale tak skalkulowanymi, by chłopi nawet marzyć nie mogli o zapłacie. A potem sugerowało się, albo rąbało prosto w oczy: darujemy wam kontrybucję, ale dajcie się ochrzcić.

III Metoda dzieł pożytecznych i dobroczynnych. W zasadzie słuszna, ale pod warunkiem, że zajęcia takie, jak zakładanie i prowadzenie szkół, szpitali lub ochronek nie absorbowało całkowicie uwagi misjonarzy i nie odciągało ich od głównego zadania szerzenia wiary. Metoda ta przynosiła szkodę, o ile stawała się celem dla siebie. Misje katolickie, w odróżnieniu od protestanckich, popadały też łatwo w pewien ekskluzywizm, polegający na tym, że nie dopuszczało się Chińczyków do bezpośredniego udziału w tych pracach, a traktowało się ich jako „podopiecznych" tylko.

IV Metoda jałmużny. Z biegiem cazsu wyrodziła się w „świętokupstwo na odwrót". O. Lebbe twierdził, że należało by mówić mniej delikatnie: metoda pieniężna. Była stosowana przede wszystkim w Chinach płn. i spowodowała masę nawróceń. Ale liczba absolutnie nie odpowiadała jakości.

Katechumeni chińscy bywali zgromadzani w szkołach misyjnych, gdzie otrzymywali utrzymanie. Z biegiem czasu zauważono, że zwiększyć liczbę katechumenów można tylko wtedy, jeśli się im zapewni środki do życia (odnosiło się to zwłaszcza do kobiet i pracowników rolnych). Stąd — szeroka dystrybucja żywności, co później zamieniono na znacznie wygodniejszy sposób zasiłków pieniężnych. Stąd — istna fala nadużyć, kilkakrotne chrzty, rozmaite rodzaje „taks", jak np.: pięć dolarów za głowę, dwa

*) Léopold Levaux, Le père Lebbe, apôtre de la Chine moderne (1877 — 1940). Préface de Son Excellence Monde Liège. Editions Universitaires. Les seigneur L. — J. Korkhofs Evêque de Presses de Belgique. Bruxelles — Paris 1948.

PROTESTANTYZM NIEMIECKI

(dokończenie ze str. 1)

niu Boga, który Synowi swemu kazał umrzeć na krzyżu za obydwu, za człowieka Zachodu i za człowieka Wschodu", do „Zwyciężonych i zwycięzców, posiadających i wydziedziczonych, do jeńców i ich dozorców, do władców i do wyzutych z praw".

Orędzie zwraca się najpierw do członków narodu niemieckiego: „Rozeznajcie bożyszcze, które naród nasz doprowadzić chce do zguby, wmawiając weń, że ratunek może mu przynieść trzecia wojna światowa... Odżegnujcie się stanowczo od nacjonalizmu, który wzbrania się uczynić pokutę i czeka na chwilę odwetu".

Dalej orędzie głosi: „Nas przeraża myśl, że w trzeciej wojnie światowej rzekomo dla dobra człowieka ofiarowanych zostanie dziesięć lub sto milionów ludzi na ołtarzu jego samousprawiedliwienia i jego obłędu wybawicielskiego... Zapytujemy: „Czy dolar może być zbawcą świata? Czy bomba atomowa może być tajemniczym bóstwem i zbawicielem?"

Na zakończenie ostrzega Rada Bratnia mocarstwa kapitalistyczne, by nie traktowały dłużej ludzi jako towar roboczy dla pomnożenia kapitału: „Dane ludziom przez Boga prawo potępia obozy koncentracyjne i metody gestapo, potępia też przymus do kłamstwa. Wszystkie iluzje panowania nad światem wiodą do zguby. Kto należy do Chrystusa, ten stoi w służbie dla bliźniego i stoi pod prawdziwym prawem wolności". (Rhein-Neckar-Zeitung, 16.11.49).

Rzecz jasna, nie wszystko może się nam w tym orędziu podobać, głosi ono np. zbyt daleko idącą tolerancję wobec byłych członków partii, oficerów Wehrmachtu i urzędników Rzeszy, a wobec wielu problemów społecznych stoi na stanowisku konserwatywnym. Musimy jednak sprawę oceniać realistycznie. Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że uwzględniając sytuację gospodarczą i polityczną Niemiec Zachodnich orędzie to stanowi dokument dość dużej odwagi przywódców Kościoła ewangelickiego i zarazem dokument odbywających się w nim ważnych przemian ideologicznych, przemian, które w stosunku do tego, co się działo w protestantyzmie niemieckim w dawnych latach — wiadomo przecież, że pastorzy na równi z junkierskimi oficerami stanowili zawsze najsilniejszy filar nacjonalistycznego imperializmu niemieckiego — musimy oceniać pozytywnie. Jest to tym ważniejsze, że zawarta tam ostra i śmiała krytyka polityki mocarstw zachodnich, znajdującej w burżuazyjnych masach niemieckich w tzw. Państwie Związkowym Bonn ślepych wykonawców i czcicieli, wiąże się z doniosłym wystąpieniem biskupa ewangelickiego z Berlina, Dibeliusa. W tym samym bowiem czasie powiedział on w pewnym swym oświadczeniu publicznym, jak „błędne jest śledzenie społecznych procesów na Wschodzie oczyma nienawiści lub wyzyskiwanie ich następstw jako pretekstu do stworzenia przeciw-wschodniego frontu". Zamiast tego radził Dibelius zastanawiać się mocno nad grzechami, jakie w tej właśnie dziedzinie popełniły państwa zachodnie.

***

Kończąc ten artykuł, muszę i ja wyrazić pewne ostrzeżenie. Błędne by wnioski z uwag tych wysuwał ten, kto by nabrał przekonania, że np. protestantyzm niemiecki stał się teraz sprzymierzeńcem demokracji ludowych i ostoją ruchu pokojowego w Niemczech Zachodnich. Tak prosto się sprawy znów nie przedstawiają. Omówione przeze mnie wyżej zjawiska dodatnie mieszczą się raczej w ramach zapowiedzi, aniżeli rzeczywistości. Ale i to już znaczy wiele.

A rzeczą zasadniczej wagi jest fakt, że ta pozytywna ewolucja nastawienia społecznego zbiega się chronologicznie z pewnymi tendencjami rewizjonistycznymi wobec doktryny Lutra oraz z tęsknotą za jednością Kościoła, tęsknotą, która nurtuje dzisiejszy protestantyzm.

Aleksander Rogalski

SZTANDARY

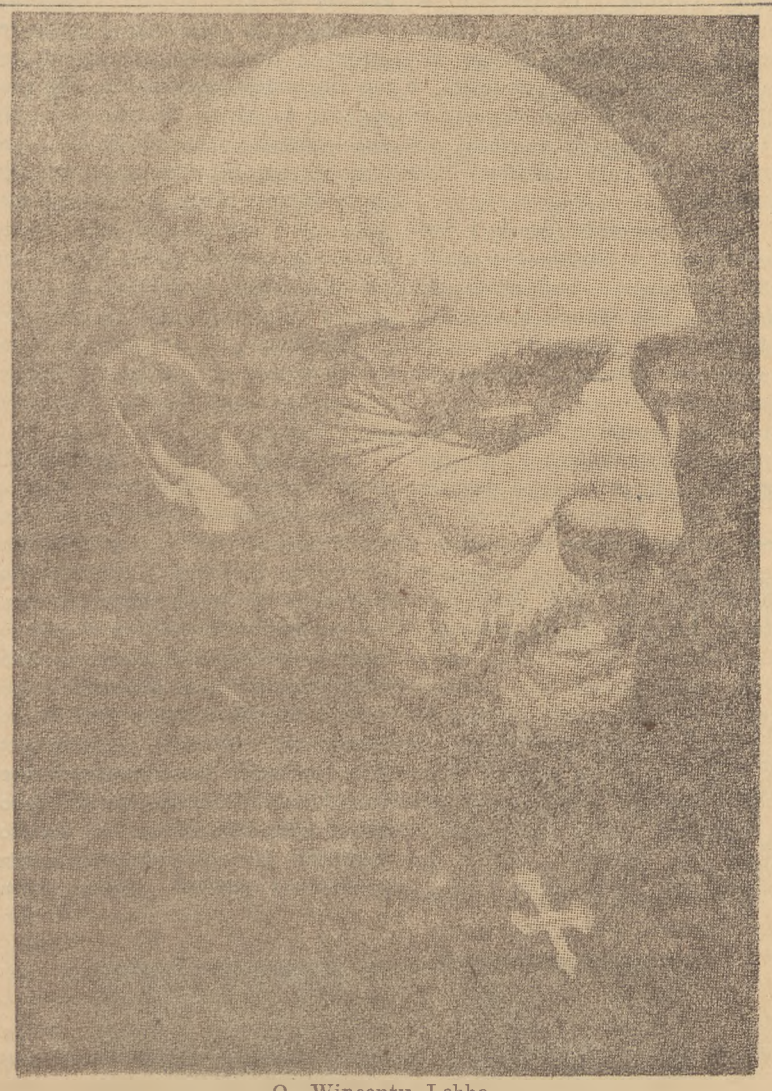

O. Wincenty Lebbe

płatne w chwili zapisania się na listę, trzy — po chrzcie; dolar przy zapisie — każdy następny płatny po nauczeniu się kolejnej partii katechizmu itd., itd., itd... Łatwo sobie wyobrazić do jakich to prowadziło rezultatów.

Autor pomysłu tej metody działał w najlepszej wierze. Ale się nie zastanowił, nie przewidział skutków. Tego mianowicie, że w mózgu każdego z płatnych katechumenów rodziła się myśl: otrzymuję poważne pieniądze, a w zamian coś płacę: daję się ochrzcić; a więc przyjmując chrzest oddaję misjonarzowi jakieś wielkie dobro, sam je tracąc.

To była właśnie „symonia na odwrót", gorsza od świętokupstwa wprost. Bo ten, co za pieniądze chce dostać moc nadprzyrodzoną, tym samym przynajmniej stwierdza, że moc ową uznaje i pragnie ją posiadać.

Takimi oto sposobami nawracano Chińczyków pięćdziesiąt lat temu, wtedy, gdy o. Lebbe przybył do Pekinu. Młody zakonnik systemy te poznał i ocenił ujemnie. Z biegiem czasu sam stał się twórcą metody innej, tym razem dobrej i skutecznej.

Ciekawe jednak — czemu to mianowicie misje chrześcijańskie w Chinach nie były podów czas zdolne znaleźć lepszych sposobów działania? Jaka była istotna przyczyna tego faktu, iż prawdziwy mur nieufności odgradzał je od głównej masy tubylców?

SZTANDAR LUDZI ŻÓŁTYCH

15 sierpnia 1900 roku między narodowy korpus interwencyjny, dowodzony przez niemieckiego generała Waldersee, rozerwał pierścień powstańców chińskich — „Bokserów" — oblegających dzielnice europejskie w Pekinie. Na spotkanie zwycięzców wyszedł biskup katolicki. W ręku trzymał wielki sztandar francuski, na piersi błyszczał mu krzyż. Tak przywitał biskup czołowy oddział odsieczy (który był oddziałem japońskim).

Potem bataliony angielsko-francusko - rosyjsko - amerykańsko - japońsko - niemieckie ubezpieczały „koncesje". Ich posterunki stały niedaleko kościołów. Flagi państw europejskich powiewały na wieżach. Tu i ówdzie można było zauważyć plakat, przedstawiający zbrojnego Amerykanina nad trupem tubylca. Napis u dołu głosił: zabity, bo Chińczyk.

Powstanie „Bokserów" było okrutne i srogie. Ale poprzednie zachowanie się Europejczyków w Chinach zjawisko to w pełni tłumaczyło. W r. 1842 Anglia rozpoczęła wojnę, by zmusić Chińczyków do kupowania indyjskiego opium. Poniżające, haniebne traktaty narzucano siłą. Na bramach „koncesyj" zdarzały się ogłoszenia: psom, żebrzącym i Chińczykom wstęp wzbroniony.

Siłą narzucone traktaty protegowały m. in. — chrześcijańskich misjonarzy. Wjeżdżali oni do Chin w furgonach imperializmu. W pojęciu żółtego ludu, krzyż Chrystusa był wiernym sprzymierzeńcem miecza „białych diabłów". A więc każdy Chińczyk, który dał się ochrzcić — w oczach współplemieńców stawał się winien zdrady narodowej.

W r. 1917 o. Lebbe, znajdujący się wtedy w niełasce, otrzymał od swego biskupa „Notę" dotyczącą przepisów postępowania. Jej punkt pierwszy traktował o patriotyzmie. Oto wyjątki:

„Przypominać naszym chrześcijanom, że powinni kochać swój kraj, a przeto: I) modlić się o jego pomyślność i za jego władzę, 2) być wiernymi poddanymi (sujets), nawet najbardziej wiernymi co się tyczy prawa, podatków i innych obowiązków, 3) być użytecznymi obywatelami. oddającymi się w miarę możności dobru ogólnemu, 4) iść dalej i rzucać chrześcijan w wir polityczny oznaczałoby narażać ich na walki ponad ich siły i w konsekwencji niebezpieczne dla nich i bez pożytku dla kraju... Należy ich strzec przed patriotyzmem sztucznym i hałaśliwym, który skłania się do fanatyzmu i szowinizmu i miesza miłość kraju z nienawiścią do cudzoziemców, bojkotowaniem ich towarów" itd.

Pomyślmy, że te przepisy dla Chińczyków ułożył Francuz — a wszystko stanie się jasne. A więc i to także, dlaczego masy Chińczyków zgadzały się na chrzest dopiero pod działaniem jednej z czterech powyżej opisanych „metod".

Metoda o. Lebbe była zupełnie inna. Istota jej polegała na wprowadzaniu katolicyzmu w sam nurt **życia chińskiego,** na jak najbardziej pozytywnym stosunku do **patriotyzmu ludzi** żółtych. Ten europejski misjonarz chciał, aby na tamtejszych stolicach biskupich zasiedli Chińczycy, a działający na miejscu księża biali podporządkowani im byli, jako władzy duchownej. Wiara, którą szerzył, wiara katolicka miała być pozbawiona wszelkiego **europejskiego wernisażu.** Co się tyczy białych misjonarzy, to winni oni „kochać nie tylko Chińczyków **ale Chiny,** tak, jak się miłuje własną ojczyznę, tak, jak Francuz miłuje Francję".

O. Lebbe nie wymagał od swoich żółtych parafian narodowej abnegacji. Odwrotnie. Namawiał ich, by swoimi własnymi rękami kierowali losem kraju. Pragnął, by katolikowi chińskiemu nic co chińskie nie było obce. Głosił, że Chiny winny wyznawać Chrystusa nie dlatego, iż ta wiara przychodzi z Europy i symbolizuje „wyższą cywilizację", ale dlatego, że jest prawdziwa.

Sprawa narodowej abnegacji, której rzekomo względy religijne mogą wymagać... coś mi się zdaje, że o tym problemie czasami słychać nie tylko nad egzotycznym Yang-Tse-Kiangiem. Znam bowiem pewien europejski kraj, w którym jedni uprawiali naprawdę szowinistyczny bełkot o „katolickim państwie narodu polskiego", inni zaś — jakby na mocy prawa wahadła — popadali w drugą skrajność. To tacy, którzy sądzą, że słowo: ojczyzna — jest za mało dostojne, by je chociażby wspominać w sąsiedztwie słowa: wiara. Tak, jakby naród nie był przede wszystkim jednością natury moralnej.

BÓJ I ZWYCIĘSTWO

W r. 1913 misja katolicka w Tien-tsinie nabyła od Chińczyków pewne tereny pod budowę kościoła, szpitala i seminarium. W dwa lata później, w r. 1915, konsul francuski siłą zajął część tego terytorium i włączył je wprost do „koncesji" głosząc, że uczynił to dla ochrony misji. Bezprawie było oczywiste. Władze duchowne zawarły w dodatku z konsulem tajny układ, odstępując mu jeszcze dodatkowy pas ziemi pod warunkiem zwolnienia od podatków.

Milionowe miasto zawrzało. Chińska prasa katolicka (założona przez o. Lebbe) wystąpiła przeciwko samowoli konsula. Na tarczach francuskich wytyczających zabrany teren pojawiły się napisy: **Fakauo Koungtao** — „francuska sprawiedliwość". Miejscowy biskup — Francuz — uznał prawo świeckich katolików do czynnego mieszania się w sprawę, ale misjonarzom nakazał neutralność. O. Lebbe był wtedy w Tien-tsinie wikariuszem generalnym, cieszył się ogromną popularnością wśród wszystkich Chińczyków, bez różnicy wiary.

O. Lebbe pisze list protestacyjny do francuskiego ambasadora w Pekinie. Ten odpowiada ostrym pismem — skierowanym do biskupa. Biskup wzywa zakonnika i — traktując go jak winowajcę — surowo nakazuje mu całkowite wycofanie się z tej sprawy. Nazajutrz o. Lebbe przedkłada biskupowi pismo, utrzymane w tonie całkowitego posłuszeństwa, ale wykładające jego pogląd na rzecz: „neutralności" nie da się utrzymać, słuszność jest po stronie protestujących Chińczyków, stanowisko misji jest błędne.

23 czerwca 1916 roku, o godzinie 10 rano o. Lebbe otrzymuje rozkaz opuszczenia Tien-tsinu. O godz. 3 po południu jest już na statku. Udaje się do odległej, prowincjonalnej parafii. Wkrótce przeniesiony zostanie do takiej części kraju, gdzie jest w użyciu dialekt, którego nie rozumie.

Ogromne dzieło o. Lebbe w Tien-tsinie — prasa, sale odczytowe itd. — pozostaje w opuszczeniu i zwolna zamiera.

Konsul francuski z oddziałem żołnierzy udaje się w nocy na sporny teren, aresztuje dziewięciu policjantów chińskich i wystawia własne posterunki. Teraz jednak Chińczykom nie chodzi już tylko o ten szmat ziemi. Wyrasta problem samego o. Lebbe. „W milionowym mieście pogańskim miał on pozycję analogiczną do tej, jaką w chrześcijańskim Paryżu posiadał św. Wincenty" — pisze misjonarz ówczesny o. Cotta — „Wyobraźcie sobie, że pewnego dnia mieszkańcy Ars widzą, że proboszcz Vianney*) odchodzi i dowiadują się, iż biskup usuwając go zastosował się do żądania komisarza policji czy ministra".

Interwencja Chińczyków — w tej liczbie interwencje najpoważniejszych pogan — nie pomogły. O. Lebbe nie wrócił do Tien-tsinu.

W dwa lata później wydarzyła się historia nie mająca bezpośredniego związku z osobą naszego lazarysty, ale jaskrawo obrazująca ten właśnie stan rzeczy, z którym o. Lebbe uparcie i odważnie walczył.

W roku 1918 papież Benedykt XV postanowił ustanowić nuncjusza przy rządzie pekińskim. Młoda republika chińska uznała to słusznie za sukces dyplomatyczny. „Radowało się wszystko, co było chińskie, księża, wierni i niewierni — pisze wspomniany ks. Cotta — Lecz z drugiej strony, wszystko, co europejskie — kler, katolicy i bezwyznaniowi — albo milczało, albo otwarcie manifestowało niechęć". Mocarstwa kolonialne głosiły, że pomysł z wysłaniem nuncjusza to niemiecka machinacja. Benedykt XV był istotnie pomawiany o sprzyjanie Niemcom; ale w jaki sposób przyjazd nuncjusza do Pekinu miał dopomóc armiom Hindenburga w Europie — tego nikt nie wie.

Mocarstwa protestowały, ponieważ nie życzyły sobie dyplomatycznego sukcesu Chin, no i nie pragnęły utracić atutu, jakim „protektorat" nad misjami był niewątpliwie.

„Biuletyn katolicki" w Pekinie, oficjalny organ kurii, ogłosił tylko lakoniczną wiadomość o nuncjaturze, podkreślając, że nie przyjmuje odpowiedzialności za tę depeszę. A tuż wyżej drukował inspirowany przez poselstwo francuskie artykuł, wyraźnie projektowi papieskiemu wrogi. Żaden z pięćdziesięciu białych biskupów w Chinach nie zaprotestował przeciwko kampanii, która, co tu ukrywać, mierzyła wprost w papieża. Depesze i pisma, wymieniane przez żółte władze ze Stolicą Apostolską drukowane były w gazetach — niechrześcijańskich. Żaden z dzienników redagowanych przez misjonarzy nie czynił o nich wzmanki. Jeden tylko tygodnik **Ichepao,** założony ongi przez o. Lebbe, stanowił zaszczytny wyjątek, ale doczekał się za to represji w postaci zakazów prenumeraty w całych diecezjach.

Mocarstwa zwyciężyły. Benedykt XV przegrał. Sprawa nuncjatury w Chinach została pogrzebana na lat dwadzieścia pięć. Do roku 1943.

Ale rok 1919 przyniósł wielki triumf tej właśnie myśli, którą reprezentował pozostający ciągle na wygnaniu o. Lebbe. 30 listopada owego roku Benedykt XV ogłosił encyklikę **„Maximum illud"** — „list pasterski o rozszerzaniu wiary po całym świecie".

Wszystkie tezy belgijskiego nowatora zostały oficjalnie potwierdzone przez Kościół i stały się obowiązujące. **Żadna** z jego koncepcji, **żaden** z wniosków natury praktycznej nie został oddalony. Misjonarz, który utrzymywał, że „Chrystus zbawił nie tylko poszczególne osobowości ludzkie lecz i całe narody", który dla tym lepszego upodobnienia się do swych parafian nosił chińskie szaty tudzież warkocz, który stawał po stronie żółtego ludu przeciwko potęgom własnej „rasy", które go później belgijski faszysta Degrelle nazwie „buddyjskim mnichem, najbardziej niebezpiecznym podżegaczem Dalekiego Wschodu", na którego głowę rząd japoński wyznaczy nagrodę 10.000 yen*), honorowy pułkownik armii walczącej z okupantem — wyprzedził swoją epokę i wytyczył drogi nowe, a jedynie słuszne.

O. Lebbe umarł w Chinach, w Czung-Kingu, 24 czerwca 1940 roku.

PRAWO KAŻDEGO CZŁOWIEKA

Traktując dzieło o. Lebbe jako zjawisko historyczne, stwierdzić wypadnie, iż dokonane ono zostało dosłownie na pięć minut przed dwunastą.

W Chinach — i nie tylko tam — praca misyj katolickich i chrześcijańskich w ogóle sprzęgła się z rządami kolonialnymi Ten fakt da się historycznie łatwo objaśnić. W przeciągu ubiegłego zwłaszcza stulecia

*) 100.000 franków belgijskich.

(dokończenie na str. 12)

*) Św. Jan Vianney, proboszcz z Ars we Francji.

Tadeusz MAZOWIECKI

REFLEKSJE W STUWIEŻOWYM MIEŚCIE

Tak zwane „szczęście" dopisało mi tym razem. Nie każdemu bowiem zdarzy się przyjechać do Pragi akurat na moment, gdy wieczorem Hradczyn oświetlany jest reflektorami. Widok jest doprawdy wspaniały. Muszę przyznać, że gdy po przyjeździe powędrowałem na położoną naprzeciw zamku górę Petrin (Petrzyn),

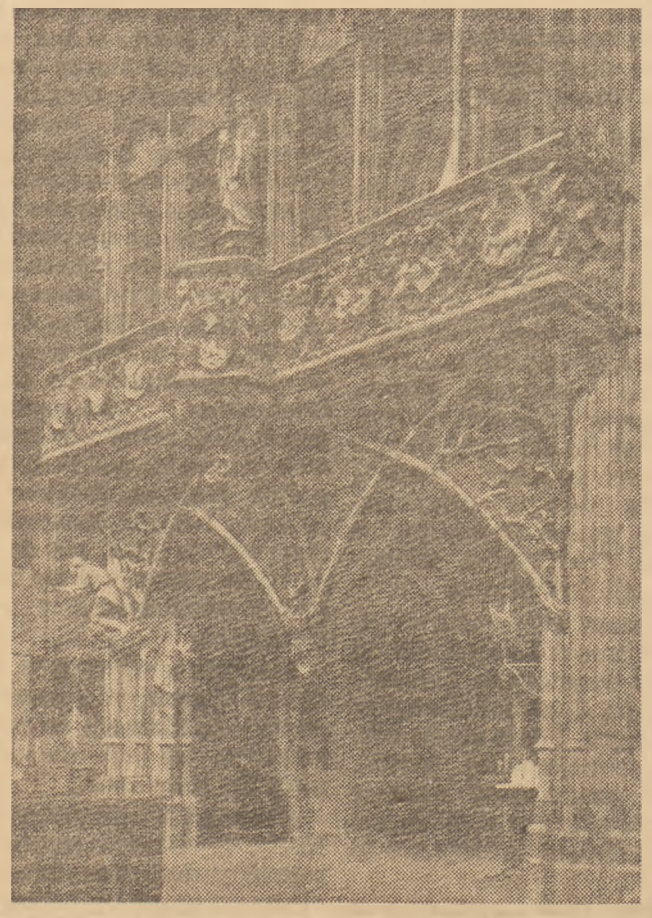

by stamtąd patrzeć na oświetlone mury Hradczynu, na wspaniałe, wspinające się w niebo kontury katedry św. Wita — żałowałem bardzo, że nie potrafię oddać słowem odczuwanego piękna. Nie, żeby odrazu dyskontować na papierze odczuwane wrażenia, ale dlatego, że majestatyczny Hradczyn i gotyckie wieżyce katedry wzywające myśl ku górze, dawały tyle odczucia piękna ludzkiego dzieła, tyle najgłębszych myśli, którymi ma się jakąś dziwną ochotę dzielić z innymi.

Następnego dnia pobiegłem znowu na Hradczyn. Wciągnęła mnie od razu katedra, którą można podziwiać bez końca. Jest w tej gotyckiej świątyni coś, co nadaje jej specjalny urok. Zdaje się, że wszystko na co spojrzysz podciąga cię do góry. Zdaje się, że artysta, który latami pracy upiększał dolne partie katedry, jakby sam wiedział o małości swego dzieła wobec Tego ku Któremu ma ono przyciągać, jakby sam wyznaczał im tylko rolę szczebla, na którym wzrok ma się zatrzymać tylko na chwilę — by iść wyżej. Z tej wędrówki myśli ku Górze przyzywał na ziemię tylko dzwonek ministranta służącego do Mszy św., dzwonek, oznajmiający, że i tu, wśród nas jest Ten, ku Któremu się podnosimy myślą, że tu i teraz każe nam mieć miłość ku sobie.

Nie spostrzegłem się wcale gdy po Mszy św. spędziłem kilka godzin na oglądaniu katedry. Piękne stare Oratorium Władysława Jagiellończyka z Białym Orłem, kaplica św. Wacława z grobem patrona Czech, ołtarz św. Jana Nepomucena również zawierający relikwie męczennika, ołtarz św. Wojciecha, wspaniałe witraże — wszystko to nie pozwalało się, oderwać. ,

Przyznam się, że szczególną uwagę moją przyciągnęło dzieło, które nie zdążyło jeszcze pokryć się patyną wieków. Był to rzeźbiony w drzewie ołtarz Chrystusa na krzyżu, dłuta czeskiego artysty Frantiska Bilka. Rzeźba ta doskonale harmonzuje z całością wnętrza katedry. Umieszczony w dolnej części ołtarza napis: „Rzeźbę krucyfiksu rozpoczęto w 1896 r. — ukończono w 1927, rzeźbę ołtarza rozpoczęto w 1906, ukończono w 1926" — przywołał na myśl średniowieczny typ artysty całe życie oddającego jednemu dziełu. Słyszałem kiedyś, gdy ktoś zachwycał się postawą artysty średniowiecza, który potrafił z największą starannością wykonać każdą drobną i marginalną część swego dzieła, wiedząc, że tylko przy bardzo wnikliwej obserwacji może dostrzec je oko ludzkie. O pracy Bilka można powiedzieć to samo. A ten skromny napis jakoś tak bardzo nakazywał szacunek.

Obejrzeć dokładnie w ciągu krótkiego czasu Hradczyn było niepodobieństwem. Z wewnętrznym poczuciem zadawanej sobie samemu krzywdy musiałem się ograniczyć do obejrzenia tylko pięknej lustrzanej sali hiszpańskiej i starej sali władysławowskiej, w której do dziś podejmowane są najważniejsze akty państwowe. Romański kościołek św. Jerzego z dwoma głównymi ołtarzami (jednym w podziemiu) — najstarszy kościół praski pozostawił obok Chramu św. Wita niezatarte wrażenie. Potem trzeba było choć pobieżnie obejrzeć starą Pragę, pełną na każdym kroku historii i pamiątek. A więc — zobaczyć stary zegar na ratuszu i co godzina ukazujące się w oknach postaci 12 Apostołów, posłyszeć maryjną melodię dzwonków w kościele MB. Loretańskiej, podziwiać barok kościoła św. Mikołaja, ostre kontury Uniwersytetu Karola (Carolineum) i popatrzeć w twardą i bolesną twarz Jana Husa stojącego w płomieniach stosu.

Wieczorem poszedłem w drugim kierunku miasta — na Żizkov. Jest to jedno z wielu wzgórz między którymi rozpościera się miasto. Tu wśród drzew parku góruje nad Pragą „Pamatnik osvobozeni" — mauzoleum oswobodzenia wystawione po I wojnie światowej. Stanął tu obecnie wielki, 10 m wysoki, monumentalny pomnik Jana Żizki, przywódcy husytów. Z wyżyn Żizkova, podobnie jak z zamku czy Petrina można jak na dłoni widzieć całą Pragę — Złotą Prahę.

— Tego terminu używają jednak częściej przyjezdni. Mieszkańcy Pragi jak zauważyłem — wolą nazywać swoje miasto — Stuwieżową Pragą. Istotnie z wyżyn Żizkova można było stwierdzić, że nie jest to tylko określenie poetyckie. Nad całym miastem górują wieże. Wieże kościołów zmieszane z kominami fabryk. Może w tym zestawieniu jest teraz jakiś sztuczny patos symbolu. Tam na Żizkovie zmuszał on do refleksji nad jego treścią.

*
**

Siedząc u stóp pomnika Żizki trzeba było wrócić się myślą do czasów jego życia. Tam wydawało się, że to tylko refleksja chwili, lecz gdy rozpatruje się problem „na spokojnie" widzi się jak często jeszcze dziś rzutują się skutki ówczesnych tragedii. Kiedy w roku 1415 wrzucono do Renu popioły zwłok Jana Husa sądzono, że zlikwidowano problem, którego był on wyrazicielem. Historia poszła inną drogą. Hus był nie tylko niebezpiecznym dla czystości dogmatów religijnych teoretykiem, ale był on jednocześnie szermierzem sprawy społecznej. Późniejsze walki religijne i rozgromienie husytów — nie tylko nie zlikwidowało w pełni problemu religijnego, ale wprowadziło daleko w przyszłość sięgające konsekwencje społeczne. Przywracanie siłą katolicyzmu, szczególnie później w czasach urzędowej restauracji katolicyzmu przez Habsburgów stało się przyczyną łączenia się przez długi okres tego, co było przeciwne uciskowi, z tym co było przeciwne katolicyzmowi Mimo, że nie zabrakło wśród katolików czeskich późniejszej doby przedstawicieli szczerze społecznie wyzwoleńczego kierunku — ta skaza pozostała i wywierała wpływ na dalsze losy Kościoła i katolicyzmu. W czasach I republiki była ona nieraz powodem nieporozumień między nowym państwem czeskosłowackim a Stolicą Apostolską, tym więcej, że do tradycji husyckich nawiązał powstały w 1920 roku narodowy kościół czeski.

W latach poprzedzających I wojnę światową i w okresie I republiki wśród katolików czechosłowackich wykształciły się ogólnie biorąc dwa prądy. Mowa tu oczywiście nie o życiu ściśle kościelnym, ale o ideowym życiu katolików.

Pierwszy to prąd intelektualistyczny, o zainteresowaniach kulturalno-religijnych; drugi — prąd polityczny. Kierunek pierwszy skupiał się wokół redakcji pism katolickich i wszelkich intelektualnych ośrodków. Najwybitniejszym jego wyrazicielem był ośrodek Józefa Floriana, którego dziełem było szereg periodycznie ukazujących się wydawnictw. O Florianie pisze jeden z jego bliskich współpracowników, że „jak nikt inny umiał oczyścić świadomość i sumienie katolików czeskich od wszelkich złych naleciałości". Wywarł on ogromny wpływ na współczesnych mu twórców i myślicieli katolickich, był iskrą zapładniającą ich do twórczego czynu. Ośrodek jego, niezbyt zresztą liczny, podobnie jak wszystko to co nazwaliśmy tu kierunkiem intelektualistycznym, pozostał jednak na boku od piętrzących się sprzeczności społecznych i nie potrafił stworzyć dostatecznego pomostu między problematyką kulturalną a realnym zaangażowaniem się społecznym. Nastawiony wyłącznie na kształcenie wnętrza takim pozostał, nie będąc zdolny do odegrania twórczej roli w organizowaniu społecznego życia.

Kierunek drugi tj. ściśle polityczny skupił się wokół chrześcijańskiego Stronnictwa Ludowego. Stronnictwo to światopoglądowo-chrześcijańskie w swym programie — agrarystyczne, jak wszystkie tego typu ruchy zaliczyło się do partii umiarkowanych. Dużą rolę grało w nim duchowieństwo, co świadczy o małej emancypacji politycznej katolików świeckich.

Oba te kierunki restaurują swą oficjalną działalność po wojnie. Kierunek pierwszy ześrodkował się znów wokół szeregu pism katolickich kontynuując dotychczasowy charakter zaabsorbowania niemal wyłącznie problematyką kulturalną i ściśle religijną i pozostając na uboczu wobec zagadnień politycznych. Nie znaczy to, że pisma te nie poruszały problematyki społecznej, że nie przedstawiała ona dla nich ważności. Były to jednak próby konstrukcji nieśmiałych i nie podążających dostatecznie za nurtem czasu. Wydaje się też, iż postawa teoretyczna nie rzutowała się dostatecznie na praktykę, w tym sensie, że nie doceniano potrzeby czynnego parania się palącymi, praktycznymi problemami nowego życia.

Zaniechanie tego spowodowało brak inicjatywy twórczych intelektualnie środowisk katolickich w ułożeniu stosunków pomiędzy Kościołem a nowym ustrojem państwowym. Być może w niedostatecznym stopniu nastąpił tam przełom w świadomości wywołany zetknięciem z rewolucją socjalistyczną. Zabrakło dostatecznie konsekwentnego zdania sobie sprawy z faktu, że mimo wszystkich trudności spowodowanych bezpośrednim zetknięciem się światopoglądu chrześcijańskiego ze światopoglądem materialistycznym, trzeba gruntownie przeżyć problem rewolucji socjalistycznej i wyciągnąć stąd twarde, praktyczne wnioski. Te konsekwencje oznaczały nie tylko przemyślenie wielkiej problematyki społecznej, ale jednocześnie wykazanie inicjatywy i umiejętności twórczego, aktywnego i moralnie zdrowego pokierowania własną działalnością w jej nurtach. Podbudowa intelektualna nie stworzyła tu jednak pomostu do wzięcia na warsztat własnej aktywności problemu trwałego współżycia Kościoła i katolików w ramach nowego ustroju. Wskutek braku dostatecznej inicjatywy w tym kierunku ośrodki te nie przyczyniły się do rozwiązania tego tak trudnego problemu, a ustawione w zawieszeniu intelektualnym nie zdołały w okresie rozwijającego się ostrego konfliktu utrzymać własnego istnienia.

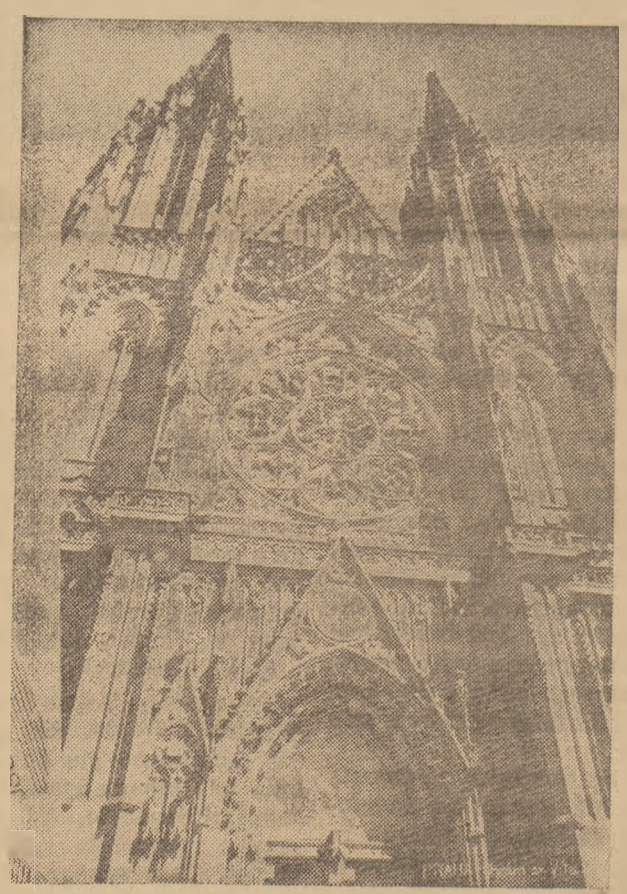

Historię powojenną swego kraju Czesi i Słowacy dzielą na — przed lutym 48 i po lutym. Luty 48 oznacza bowiem pełne przejście państwa na drogę marksistowskiej rewolucji.

W ramach przemian lutowych następuje również zmiana nie tylko w kierownictwie, ale również w cha-

rakterze Stronnictwa Ludowego. W okresie poprzedzającym luty Stronnictwo Ludowe pozostając nadal na pozycjach agrarystycznych staje się zasadniczym przeciwnikiem marksistowskiej linii społeczno-politycznej. Będąc światopoglądowo stronnictwem chrześcijańskim nie przejawiało ono pozytywnej inicjatywy w kierunku ugruntowania życia katolickiego w nowych formach społecznych, lecz przeciwnie występowało jako czynnik hamujący przemiany i skupiający wokół siebie elementy przeciwne nowemu ustrojowi. Przejawiając polityczną orientację zachodnią ustosunkowywało się wobec marksistowskiego kierunku rewolucyjnego nie jako przeciwnik światopoglądowy i nie tylko jako przeciwnik tych czy innych tendencji, ale generalnie sprzyjało tendencjom usiłującym osłabić tempo przemian i skierować drogę rozwojową kraju po linii t. zw. „trzeciej siły".

Kryzys lutowy powoduje zmianę charakteru i programu Stronnictwa Ludowego. Stawia ono obecnie w swych założeniach programowych zasadę chrześcijańskiego światopoglądu przy całkowitym opowiedzeniu się za budowanym ustrojem socjalistycznym. Kierunek ten nie jest jednakże dostatecznie pogłębiony. Dawane sformułowania nie sięgają do istoty problemu, ograniczając się do ściśle praktycznych wskazań. Problem współżycia katolików z marksistami, problem istnienia i rozwijania się Kościoła i chrześcijaństwa w nowych formach ustrojowych jest problemem, którego nie da się zbyć płytkimi ogólnikami, bez dotarcia do istoty dzielących i jednoczących elementów, bez wypracowywania jasnej perspektywy własnej koncepcji ideologicznej. Brak tej koncepcji nie tylko zmniejsza szanse oddziaływania, ale naraża na możliwość zagubienia zarówno własnych podstaw wyjściowych, jak i celu, któremu się pragnie służyć. Stronnictwo Ludowe stawiając na ustrój socjalistyczny, a zastrzegając sobie katolicki charakter światopoglądowy nie precyzuje w sposób dostatecznie głęboki na czym ten charakter polega i jakie są jego istotne, praktyczne konsekwencje. Zajmując się wprowadzeniem katolików w ustrój socjalistyczny nie potrafi nakreślić im ideowej perspektywy własnego katolickiego życia w ramach nowych form ustrojowych. Sformułowania ideowe idą po zbyt powierzchownej linii, nie doceniając konieczności głębszego i szerszego spojrzenia na kierunek linii rozwojowej. Katolicyzm nie jest tylko światopoglądem „niedzielnym", czy prywatnym i wyznaczanie katolikom miejsca i twórczej społecznie roli w nowym ustroju, roli jako obywatelom, ale też i jako katolikom musi być związane z zabieganiem o ideowy rozwój własny z zabieganiem o to, by bez szkody dla przemian społecznych i budowy nowych form życia katolicy mogli twórczo rozwijać własne życie i własny pogląd na świat. Zarówno ideowy katolik jak i ideowy marksista rozumie dobrze, że przyjęcie szczerej i konsekwentnej troski o rewolucję może nastąpić tylko z najgłębszych ideowych przesłanek. Posiadanie zaś tych przesłanek warunkujące stałe utrzymywanie i pogłębianie tej troski wymaga posiadania i rozwiązania dostatecznie ugruntowanej i przemyślanej własnej koncepcji ideowej. Brak tej koncepcji, brak perspektywy ideowej siłą faktu naraża na zmniejszającą szanse oddziaływania powierzchowność.

Stronnictwo Ludowe w zakresie swej działalności przejawia aktywność w kierunku rozwiązania istniejącego konfliktu między Państwem a Kościołem. Konflikt ten, obustronnie szkodliwy, paraliżuje normalne prace Kościoła i uszczupla jego stan posiadania, państwu zaś stwarza istotne trudności. Dotychczasowe próby nie doprowadziły do porozumienia. Oczywiście, zważywszy na różnice światopoglądowe i sumę nagromadzonych zadrażnień, sprawa jest nad wyraz trudna. Polityczna orientacja Sekretariatu Stanu wywierała też istotny wpływ utrudniający uregulowanie problemu. Rzecz jasna, musi on być rozwiązany w sposób rozsądny, obustronnie korzystny i dający perspektywę rzeczywistej trwałości.

Coś, co uderza w sytuacji czeskiej, to brak czynnika katolickiego zdolnego i umiejącego przejawić rzeczową i możliwą do przyjęcia dla obu stron inicjatywę uregulowania stosunków. Ośrodki intelektualne, z przyczyn o których była mowa poprzednio inicjatywy takiej przejawić nie mogą, natomiast wysiłki Stronnictwa Ludowego idą po linii zbyt mechanicznej. Zadaniem ośrodka, który tego typu inicjatywę przejawia, może być tylko pełne skoncentrowanie się na uregulowanie problemu, próba zaś organizowania życia religijnego niezależnie od załatwienia sporu sprowadza na manowce, nie dając szans istotnego, trwałego i korzystnego rozwiązania zagadnienia.

Sytuacja jest trudna, nie jest jednakże i nie powinna stawać się bezwyjściowa. Uznanie rewolucji socjalistycznej — przy zachowaniu pełnych różnic światopoglądowych, przy świadomości wynikających stąd konsekwencji społecznych i nie wyrzekaniu się prawa walczenia o ideały własne — uznanie jej za zjawisko w sumie społecznie wielkie, dodatnie i trwałe stwarza istotne konsekwencje dla postępowania katolickiego.

Stąd też trzeba wyrazić nadzieję, że w trudnej sytuacji konfliktu między Państwem a Kościołem w Czechosłowacji, dokonane w Polsce porozumienie stanie się przedmiotem wnikliwej i głębokiej analizy, zarówno obu kompetentnych stron, tych czynników, które pragną przyczynić się do pozytywnego uregulowania stosunków, jak i całego czeskiego społeczeństwa katolickiego. Oczywiście warunki lokalne są w każdym kraju inne, jednakże zasadnicza linia dokonanego w Polsce Porozumienia jest przykładem rozwiązania jednego z najtrudniejszych problemów naszego czasu. Pozostając bowiem w granicach doktrynalnych, możliwych do przyjęcia dla obu układających się stron, ustala Porozumienie w sposób wyraźny stosunek Kościoła do rozwijającego się po linii socjalistycznej państwa demokracji ludowej i na odwrót: nie naruszając kanonicznych uprawnień Kościoła określa stosunek państwa demokracji ludowej do jego zadań. Jest dowodem wielkiego rozsądku, że po tej drodze poszedł Rząd i Episkopat w Polsce. Katolicy polscy ze szczerą troską patrząc na niezażegnany konflikt między Kościołem a Państwem w Czechosłowacji pragnęliby widzieć wysiłki po takiej idące linii. Tylko bowiem ta linia może dać trwałe i skuteczne rozwiązanie zagadnienia. To zaś jest przecież naszą wspólną troską.

***

Nakreślone tu refleksje są oczywiście tylko refleksjami, a nie wypowiadają jakichś sądów kategorycznych. Patrzenie z wyżyn Żizkova na żyjącą Pragę — „Pragę matkę naszych miast" — jak ją określają Czesi, Pragę pięknych zabytkowych domów, cudnych kościołów i tętniących życiem zakładów pracy — dawało nadzieję, że jej mieszkańcy i mieszkańcy jej kraju wyciągną konsekwencje z nazwy którą jej dali. Nazwy symbolu — stuwieżowe miasto. Miasto, w którym wieże kościołów zmieszały się z kominami fabryk.

Tadeusz Mazowiecki

OSTATNIE GODZINY PIOTRA FRASSATI*)

Z cyklu: Święci współcześni

O godz. 6 rano poszliśmy do kościółka w Crocetta na modlitwę. Wyczuwaliśmy konieczną potrzebę błagania Boga o cud, gdyż o godz. 4 rano, nasz brat stracił świadomość, siły go opuszczały a lekarstwa nie przynosiły ulgi. Pozostała nam jedynie wiara i nadzieja wbrew wiedzy.

Rozpoczęła się agonia i arytmicznymi krokami nadchodziła śmierć. Pomimo widocznych wysiłków mego brata by złożyć wargi, do wypowiedzenia szeptem kilku słów w momentach przebłysku świadomości, sparaliżowane struny głosowe odmawiały posłuszeństwa i słowa odlatywały niewypowiedziane.

Nie traciliśmy nadziei do ostatniej chwili, dopatrywaliśmy się momentów poprawy, gdy puls bił żywiej, zbliżonym do normalnego rytmem.

O godz. 9 rano prawa część ciała stała się nieruchoma, pokonana chorobą, a poty ustępowały. Spełniałam słodki obowiązek wycierania z czoła ostatnich kropelek potu, które jeszcze występowały na twarzy umierającego. Ogrzewałam moimi dłońmi opadłe chłodne ręce brata.

Nie pozostało nam nic innego jak wpatrywać się przenikliwie w oblicze umierającego i chwytać refleksy i skojarzenia ruchu warg z prawym okiem. Język już był sparaliżowany.

Dziwnie przygnębiająco działał na mnie bełkot baniek gazowych wydobywających się z butli z tlenem, dostarczających umierającemu uwięzionego, górskiego, ukochanego powietrza, aby ożywić jego wycieńczone płuca. O godz. 11 pozwolono wejść do komnaty umierającego drugiej osobie, którą był Marco Beltramo, wyczekujący od 6 rano na ten przywilej.

Przyszedł również prof. Pescarolo i zawyrokował, że wiedza ludzka w tym stanie jest bezsilna, gdyż znikły ostatnie promienie nadziei uratowania ledwo tlejącego życia brata. Medycyna jest bezsilna wobec praw przyrody. Gdy to usłyszał nasz ojciec, obrócił się do ściany i łkał jak dziecko. Śmierć syna była śmiercią i unicestwieniem jego marzeń o przedłużeniu przez potomstwo swego życia.

W pokoju wyczułam powiew skrzydeł wstępującego do tej komnaty Anioła Śmierci.

My kobiety patrząc na boleść skupiamy ją w swym sercu, niby w soczewce, lecz nie tracimy nigdy nadziei. I ja kurczowo chwytałam się promyczków nadziei, wierząc, iż uratują brata zastrzyki specjalne zamówione w Paryżu, które muszą nadejść dzisiaj.

O g. 10 Piotr omdlałym spojrzeniem prawego oka uradował mnie. Nachyliłam się nad jego głową i próbowałam odgadnąć jego życzenia. Przesuwałam rękę po otaczających go przedmiotach oczekując znaku. W pewnym momencie zdawało mi się, iż żąda pióra i papieru. Szybko wcisnęłam w dłoń jego pióro, — podtrzymałam notatnik, — oczekując ruchu ręki, lecz on podniósł oczy w górę jakby chciał coś powiedzieć, coś wskazać; pióro wypadło z dłoni, oczy stały się znowu szkliste i nieme a wargi zbielały w bezruchu. Tak męczył się oczekując wyzwolenia z wszelkich boleści ludzkich i smutków życia i swej bezmocy.

My natomiast z egoistycznych powodów staraliśmy się za wszelką cenę przedłużyć godziny jego konania aby go nie stracić dla siebie!... Im więcej od nas się oddalał, tym więcej przykuwał nas ku sobie. Ledwo, ledwo pracujące płuca wdychały powietrze, jakby ostatnim wysiłkiem całego organizmu. Oczekiwałam działania cudownego leku, który miał nadejść z Paryża. I rzeczywiście pociągiem pośpiesznym przyszły o godz trzeciej zastrzyki z Paryża, a jego umęczone ciało poddaliśmy nowej, ostatniej torturze bolesnego zastrzyku, który miał przywrócić zdrowie. Popełniliśmy to okrucieństwo w chwili gdy paraliż dochodził już do płuc.

W dom nasz wstąpiły ból i smutek. W przedpokoju od rana oczekiwał Beltramo na pozwolenie wejścia do komnaty umierającego. Siedział cierpliwie podsłuchując boleśnie westchnienia umierającego, nie chcąc tracić ani jednego.

Z głębi swego serca szeptał „Dlaczego nie modlicie się? Dlaczego nie błagacie Boga o cud? Wtedy odruchowo odstąpiłam od łoża, padłam na środku pokoju na kolana i błagałam Boga, by zesłał na mnie chorobę brata, a jemu powrócił życie.

Błaganie moje nie odniosło skutku. Widocznie Bóg nie chciał przyjąć tak marnej ofiary za życie brata...

Tak samo nie przyjąłby ofiary życia Mariscii i Beltrama, którzy gotowi byli podobnie jak ja, życie swe złożyć w ofierze za uratowanie Piotra... A tymczasem kryzys nadchodził nieubłaganie. Puls bił słabiutko lecz regularnie jak tykanie zegarka. Życie uchodziło z każdą sekundą. Wyczuwaliśmy koniec. Ojciec zebrał swe siły, podszedł do łoża umierającego syna i tak przejmująco bolesnym głosem wykrzyknął jego imię, iż obawialiśmy się, że ten okrzyk rozpaczy brat usłyszy i zrozumie. I tak się stało, gdyż na odpowiedzi wypłynęła spod jego powieki ostatnia łza!... Około godziny 7 zauważyliśmy ustawanie oddechu i wtedy zastosowaliśmy sztuczne oddychanie.

Był to tragiczny i obrażający uczucia moje widok, — poruszania wychudłego ciała brata w celu wykonania makabryczno - groteskowej, okrutnej gimnastyki.

Biła godzina siódma na naszym domowym zegarze, gdy matka nasza krzyknęła „Jezusie, Józefie i Maryjo!"... „Polecam Wam duszę moją"... Podchwyciłam upadającą rękę brata i to było nasze ostatnie pożegnanie! Zmarł!

Z zewnątrz w tym momencie doszły nas dźwięki marsza żałobnego, granego przez wojskową orkiestrę, która wiodła kondukt pogrzebowy zmarłego karabiniera. Dźwięki te łączyły dwu zmarłych

(dokończenie na str. 12)

*) Końcowy ustęp z książki siostry Piotra Jerzego Frassati, Lucyny Frassati, zatytułowanej „Mio fratello Pier Giorgio Frassati".

Jan DOBRACZYŃSKI

DROGA DO LITERATURY

(fragment essay'u o Jerzym Bernanos)

BERNANOS urodził się 20 lutego 1888 r. w Paryżu. Jego ojciec pochodził z Lotaryngii, ze starej, wywodzącej się z Hiszpanii rodziny, której jakiś przodek był jednym z pierwszych europejskich kolonistów na S. Domingo. Matka pochodziła z Moreau w Pellevoisin i przez nią mały Jerzy był dalekim potomkiem słynnego korsarza Jana Bart.

Chłopiec uczy się u Jezuitów na rue Vaugirard (tam przyjmuje pierwszą komunię św. dn. 11 maja 1899), potem w małym seminarium Notre - Dame des Champs, w małym seminarium w Bourges, wreszcie w kolegium Sainte-Marie w Aire-sur le-Lys. 2 lipca 1906 r. kończy studia średnie z dyplomem bakaloratu podpisanym przez Arystydesa Briand.

Jak z tego widzimy Bernanos początkowo kierował się na księdza. Potem zmienił zdanie. W liście z 1905 r. pisze: „Jeżeli nie chcę być już księdzem, to raz dlatego, że nie mam, jak mi się zdaje, powołania, dwa — ponieważ sądzę, że człowiek świecki może walczyć właśnie na tym terenie, na którym ksiądz nie wiele potrafi osiągnąć..."

Ten mały chłopiec o wielkich błękitnych oczach i twardej niby sierść, oblepiającej głowę czuprynie, już wtedy myśli o — literaturze. „Wciąż czytam lub piszę— wyznaje. — Kiedy nie czytam i nie piszę, źle jest ze mną". Co czyta? Przede wszystkim Hello. „Przeczytałem kilka dobrych książek m. in.: „L'Homme", „Physionomies des Saints" i „Le Siècle" Ernesta Hello. Dzięki nim zrozumiałem, że potrafimy coś osiągnąć tylko przez ofiarę i całkowite wyrzeczenie się siebie na korzyść Boga i Jego spraw, zaś najlepszym środkiem do tego celu jest pogarda dla śmierci i ofiara, zarówno śmierci jak i życia. Jestem więc zdecydowany robić, co będę mógł, by otrzymać tę łaskę, o której księdzu mówiłem i o którą prosiłem w dniu pierwszej komunii św..."

Obok Hello czyta Balzaka (szukał potem na ulicach żywego ojca Goriot i Eugenii Grandet), Bloy, O. Feuillet, Zolę („proszę być spokojny — tylko z rzeczy młodzieńczych, kawałek ze starego „Moniteur Illustre" zupełnie niewinny, a nawet — o dziwo! — sentymentalny..."), Walter Scott'a, B. d'Aurevilly, Drummont'a, Hugo... Lekturę książek tego ostatniego wspominać będzie potem w „La grande peur des bien - pensants": „Hugo dzięki majestatowi wygnania — a bez żadnego ryzyka — był lirycznym sumieniem całego tłumu dzielnych chłopców, którzy pragnęli, choć nie mieli do tego żadnych danych, odgrywać rolę Scewolów i Brutusów i wyobrażali sobie, słusznie czy niesłusznie, że w obliczu słuchającej ich publiki przyłączają swoje małe piszczałki do potężnych organów czarodzieja z Guernesey..."

A co pisze? Wcześniej niż literatura — i bardziej niż literatura — porwie Bernanosa pasja publicystyki politycznej. Bardzo szybko ogłosi się zwolennikiem... monarchizmu. Już w czasie studiów uniwersyteckich (prawniczych i literackich) w Paryżu, po zaburzeniach w Quartier Latin w związku ze sprawą Thalamusa, tępy krzykacz odsiedzi parę dni w więzieniu de la Santé. W 1909 zaczyna pisać w „Soyons libres", organie — „integralnego liberalizmu". W tymże samym roku Bernanos spływa do Action Francaise. Jest przez pewien czas redaktorem „L'Avant-Garde de Normandie" — organu monarchistów, wychodzącego w Rouen. Na tym stanowisku zaskoczy go wojna.

„Zwolniony od służby w 1908 r. po kilku tygodniach pobytu w szeregach — pisze Bernanos w „Les enfants humilés" — znowu dzięki łaskawości komendanta biura werbunkowego przyjęty z końcem sierpnia 1914 r. i dzięki tej samej łaskawości wysłany w 8 dni później do brygady spahisów jako łącznik - cyklista, powracam z końcem grudnia po okresie rekonwalescencji do 6 pułku dragonów; odesłany z powrotem z końcem lutego, bez wyjaśnienia swej pozycji (katastrofa, która mnie zmusiła do odbywania okresu rekruckiego z żółtodziobami, niedołęgami i markierantami!) wszedłem w ten sposób w ową wielką fabrykę, nie mając nawet cennych umiejętności, którym kawalerzysta w polu zawdzięcza dobroduszną wyrozumiałość swoich zwierzchników, a więc — nie umiejąc rolować płaszcza, ładować kaburów, podnosić płasko siodła wagi x kg, byłem za to pełen złudzeń co do swej umiejętności cywilnej jazdy konno, jazdy amatorskiej, która zyskała mi pogardę mego konia Haricot i plutonowego Vaudreville'a. Zacząłem służyć od najniższego stopnia, mając skronie przysypane siwizną, i niczego tak nie ceniłem, jak dobrze wykonane zadanie..." Bernanos jest nad Sommą i pod Verdun; choć wielokrotnie ranny, dobija się zaledwie stopnia kaprala.

W 1918 r. przychodzi na świat córka Chantal „o oczach błękitnych", w rok potem syn Yves-Filip (Bernanos będzie miał ogółem trzech synów: Yves'a, Michała i Jana-Loup, oraz trzy córki: Chantal, Klaudię i Dominikę).

Zdemobilizowany w 1919 r. Bernanos nie bardzo wie, co ma ze sobą robić. Nie wraca do publicystyki. Założenie rodziny włożyło mu na barki duże obowiązki. Zaczyna pracować jako inspektor towarzystwa asekuracyjnego w Bar-le Duc na obszar Lotaryngii i Szampanii. Ta praca męczy go niewymownie. Skarży się przyjacielowi (list z 1925 r.): „Znowu dzisiaj przyjąłem siedem nastu nudziarzy (nie licząc bab, które mieszają się do rozmów), skuszonych dobrodziejstwami ubezpieczeń... Zarabianie na chleb dla brzucha żżera mi dwie trzecie mego czasu. Powiesz może, że wnętrzności przekazują mózgowi część eteryczną pożywienia? Co z tego, kiedy ostatnia jedna trzecia poświęcona jest na spanie odradzające... Odradzające, ale co, mój Boże? Znowu brzuch!? Zamknięte, piekielne koło! „Człowieka, w którym coraz mocniej fermentuje literackie tworzywo (pisał już w 1914 r. do narzeczonej: „kiedy nie będzie mógł już tworzyć w głowie swoich powieści i kazać poruszać się swoim ukochanym postaciom— twój biedny przyjaciel umrze...") męczy i napełnia goryczą ogłupiająca praca wśród niezdecydowanych, bez końca rozważających korzyści i niekorzyści ubezpieczenia burżujów. Wybucha: „Niczego mi nie brak! (ma na dobitkę w tym czasie chore dzieci i umierającego ojca — moje przyp. J. D.). Dodaj jeszcze, że muszę być ciągle w podróży w walce o chleb powszedni. Nie bawię się! Ściskam zęby... Ale zapewniam cię (a wiesz, że nie zwykłem deklamować), iż czuję w sobie rodzaj okrutnej radości z tego spiętrzenia się nieszczęść. Nie jestem człowiekiem stworzonym do radości..."

Ale to właśnie wtedy — w okresie tak bardzo ciężkim — poczyna się w Bernanosie pierwsze jego dzieło. Jakaś choroba, która na parę dni przykuła go do łóżka, pozwoliła mu nakreślić kilka stronic. Bernanos pokazał je Robertowi Valery-Radot, z którym był wówczas w przyjaźni. Ten, przeczytawszy je, wybuchnął: „Ale czy ty to rozumiesz, mój drogi, że to jest wspaniałe? Gdybyś potrafił napisać całą książkę w tym samym tonie!"

Częściowo w łóżku podczas długiej trwającej choroby, częściowo w wagonie lub na stolikach poczekalni kolejowych — w swych nieustannych służbowych podróżach — Bernanos pisze „Sous le soleil de Satan". R. Valery-Radot znalazł na książkę wydawcę. Ale ten żąda poprawek, korekt, przeróbek. „Otrzymałem — znajdujemy uwagę w jednym z listów Bernanosa, — list od p. M. (Maritain'a?), w którym proponuje mi on szereg poprawek. Będę się starał je zrobić z sympatii dla niego. Ale czasu mi brak! Jestem zawalony pracą, a tyle już zrobiłem wysiłków, aby dociągnąć książkę do końca. Trzymam się zębami..."

Wreszcie przyjęta w Roseau d'Or przez komitet w składzie: Fumet, Maritain i Lefevre, książka ukazuje się na półkach. Jest to debiut literacki trzydziestoośmioletniego pisarza (jeżeli nie liczyć nowelki „Madame Dargent", która się ukazała w „Revue hebdomadaire" w 1922 r.). Na nasze stosunki debiut dość późny, na francuskie: raczej normalny. U nas pisarz z zasady debiutuje wcześniej (choć ileż to tych młodocianych debiutów jest równocześnie zamknięciem kariery literackiej — w sensie pisania, oczywiście, a nie w sensie noszenia aż do śmierci tytułu literata!), po wydaniu pierwszej książki dość długo milczy, potem nieregularnie, co dwa, trzy lata wypuszcza dalsze książki. Między czterdziestką a pięćdziesiątką jest zwykle skończony, po czym już tylko przewodniczy, prezesuje, piastuje urzędy i feruje wyroki wobec młodych. We Francji pisarze zaczynają późno, lecz, raz zacząwszy pracę, smarują, jak maszyny. Rok na książkę — to prawie norma, jeżeli nie brać pod uwagę wyjątków: Mauriac przez dwadzieścia lat pisał średnio po dwie książki rocznie, Bourget przez czterdzieści lat — po dwie książki, Bordeaux przez pięćdziesiąt lat — po dwie książki!

„Sous le soleil de Satan" w pierwszej chwili tylko dla nielicznych było zapowiedzią występującego w szranki wielkiego talentu. Sam Bernanos pisze o tym debiucie: „Kiedy przed piętnastu laty napisałem „Sous le soleil" w pełnej, powojennej euforii, w okresie, gdy mój kraj, nie myśląc o poległych bohaterach, miał w głowie tylko zabawę, gdy Paryż, opanowany przez napchanych złotem po gardło spekulantów, wydawał się jednym domem gry, jakimś potwornym kasynem, — mało było szans, aby moja książka znalazła sobie czytelników, ponieważ od pierwszej do ostatniej strony przeklinała świętokradczą radość żyjących i wydawała się napisaną dla zmarłych, co było zresztą prawdą, bo dla nich przede wszystkim pisałem. „Będziesz miał we Francji pięciuset czytelników — powiedział do mnie ze współczuciem Daniel Halevy. — Przyszedłeś za wcześnie, a może za późno..." W pół roku miałem już sto tysięcy czytelników, a moja książka była tłumaczona na wszystkie prawie języki świata. Zdobyłem od jednego razu to, co inni — niewątpliwie lepsi ode mnie — zdobywają w długie lata. Nie posiadałem na pewno więcej talentu od nich. Ale wtedy, kiedy scena literacka pełna była wspaniałych aktorów, ubranych i uszminkowanych wedle wszelkich praw sztuki, umiejących sprzedawać swoje rzemiosło, ja wszedłem na nią w ubraniu codziennym i zacząłem z niej mówić językiem męskim. Miałem do wyboru: zdobywać lub uwodzić. Zdecydowałem się na zdobywanie, a nie na podlizywanie się". (Le Chemin de la Croix-des-Ames).

Bernanos nie przesadza. Książka nieznanego autora była jeszcze w tym samym 1926 r. tłumaczona na język niemiecki i czeski, w 1927 r. na szwedzki i polski, w 1928 r. — na hiszpański, w 1929 r. na włoski... Wbrew milczeniu literackich augurów, wbrew ostrym krytykom tak ze strony sfer akatolicko - liberalnych spod znaku Gide'a (dla których utwór mówiący o świętym i szatanie był czymś drażniącym niby dla byka czerwo na płachta torreadora), jak również ze strony krytyki katolickiej (która w swej większości rzuciła się na wietrzenie w książce Bernanos'a „manicheizmu", pesymizmu, ba, nawet bluźnierstw i świętokradztwa, — słowem: tego wszystkiego, co „dobrze myślący" będą zawsze i przede wszystkim widzieli w każdym utworze genialnym, zwłaszcza właśnie w — katolickim), — powieść zdobywała sobie coraz szersze rzesze czytelników.

Bernanos spotykał się jednak z coraz ostrzejszym obstrzałem ze strony krytyki katolickiej. Zarzuty katolików podsumował ks. J. Calvet (dziś monsignor Calvet): „Mówią, że Bernanos ważył się na sceny cyniczne, których zmysł moralny nie znosi, dał karykaturę świętych w osobie księdza cudotwórcy i opętanego, ośmieszył poważnie sprawy religijne; jego książka ma dar wnoszenia niepokoju do dusz chrześcijańskich..." (Ta sprawa niepokoju to stanowczo bardzo charakterystyczny wyrzut: iluż katolików ma pretensję do Newman'a za kazanie o „Zaniedbywaniu natchnień i przestróg Bożych", w którym wielki kardynał mówi tak **strasznie** o piekle!) Sam zresztą ks. Calvet rozgrzeszył pisarza. Ale nagonka trwała dalej. „Skąd ta niechęć tak wielkiej części opinii katolickiej wobec dzieła, które porusza najistotniejsze sprawy?— zapytuje Luc Estang, nowa gwiazda katolickiej literatury francuskiej, literacki kierownik „La Croix", w swoim studium o Bernanosie pt. „Présence de Bernanos". — Jest coś zdumiewającego w tej wrogości, jaką ukazuje publiczność katolicka pisarzom najbardziej wpływowym. Ci (bez osobistego wyklęcia, bo wtedy nie byłoby o czym dyskutować!) są obiektem oficjalnej rezerwy i pozostają samotni wobec społeczności, do której należą, oraz uznani są za harcowników wobec dyscypliny, której się poddają. Co gorsza: ten ostracyzm zamienia się w sympatię wobec innych pisarzy, o wiele mniej gorąco niż tamci wyznających swoją wiarę. Szukam argumentów bardziej godnych dla tego rodzaju postawy. Być może pisarze katoliccy podejrzani — są ofiarami własnych wymagań... Zaawanturowują się na tereny, po których strażnicy prawdy zwykli są chodzić jedynie wsparci na kulach wypróbowanego języka... To przecież ze strony teologów spotkały Bernanosa najsurowsze zarzuty. A jednocześnie z ich strony znalazł najwięcej zrozumienia... Fundamentalna krytyka katolicka zarzuca Bernanosowi... że u niego... życie nadnaturalne utraciło swoją równowagę. Dusze popychane są ku krańcowości i stają się ofiarami gwałtownych wstrząsów. Nie mogą pozostać „średnimi": mierność wprowadza je w stan fatalny..."

Niewątpliwie — do tego jeszcze powrócimy — jest u Bernanosa pewna doza przesadnego maksymalizmu. Bernanos, podobnie jak i Bloy, przesadzał, by powiedzieć dobitniej swoją prawdę. Ale oburzenie czcigodnej opinii zdradzało coś więcej niż chęć zatrzymania pisarza w granicach umiaru. To był znowu bunt urażonego „dobrego myślenia", niepokój miernych, których się wyrywa z objęć ciepłego szlafroka i pantofli, każąc szukać największej przygody. Mierni — tak katolicy jak i niekatolicy — nie lubią, gdy się ich budzi.

Ale to podgryzanie Bernanosa przez krytykę katolicką miało tak że swoją dobrą stronę. Nieoczekiwanie pod wpływem prowadzonej przeciwko pisarzowi kampanii, ożywiła się strona przeciwna. Nagle z trybuny rządzonego przez Gide'a klanu „polerującej paznokcie superkrytyki" („Sous le soleil"), tak zmiażdżonej w osobie Saint-Martina, padły zdania o talencie Bernanosa. Nawet o dużym talencie. Pociągnięcie było klasyczne: tak zwykle bywa, że gdy katolicy skopią największego spośród siebie, liberalni piewcy „poziomu" odkrywają w skopanym— wielkość...

Tylko, że źle trafiono. Bernanos nie był człowiekiem, którego się bierze na lep uznania. Ani też człowiekiem, który dla zdobycia uznania rezygnuje ze swojej wiary. Od katolików wiele nie oczekiwał: znał ich dobrze i z własnego doświadczenia i z doświadczeń Leona Bloy. Pisarz wiedział, wiedział wcześnie (wcześniej niż wielu, którzy jak on chcą „robić" w literaturze katolickiej), że uznanie swoich przychodzi na końcu (a najczęściej po końcu), że jeśli się nie jest „sławnym konwertystą", nie można od katolików niczego dobrego się spodziewać. Zresztą burza rozpętana nad książką nie była jeszcze czymś najgorszym, czego mógł Bernanos oczekiwać od swoich współwyznawców. Krytycy katoliccy „kładą z zasady katolickich twórców podkreślaniem dysproporcji między nimi a

pisarzami niekatolickimi. Krytyka katolicka wszystkich krajów jest chora na kompleks niższości wobec swoich. U obcych szuka się na wszystkie sposoby „śladów katolicyzmu". U swoich — tylko „formę" a raczej braki formy. Niekatolika katoliccy krytycy prześladują swoim uznaniem. Debiutant katolicki nie znajdzie natomiast nigdy uznania u krytyka katolickiego (przecież to takie żenujące powiedzieć, że katolik dobrze pisze!), chyba że jest to łaskawe poklepanie po ramieniu, stwarzające biedakowi nadzieję, iż może jeszcze kiedyś nauczy się pisać i będzie mógł się znaleźć w szeregach „budującej literatury dla wszyskich" (Calvet nazywa to „literaturą chłopięcą") — oczywiście literacko drugorzędnej, — która stanowi swego rodzaju musujący naiwnością coctail na użytek ledwie umiejącej czytać, ale absolutnie posłusznej, trzódki księdza proboszcza... Stanowczo— krytyce katolickiej lepiej narazić się zuchwalstwem!

Tak to z piętnem manicheisty na czole, atakowany przez swoich, lecz dostrzeżony także przez zmrużone oczy mistrza od „Les caves du Vatican", — Bernanos pewnego dnia wkroczył do literatury. Miał w niej pozostać przez dwadzieścia dwa lata: — czas niezbyt długi wobec wieku Matuzalemów literatury francuskiej (Claudel'a, Brémond'a, Bordeaux)!

Miał z niej także żyć. To ostatnie nie było takie proste. Literatura wielu zamorzyła głodem, nie wielu wykarmiła. „Groźbą zdechnięcia z głodu zmuszono mnie, — pisze w „Les enfants humiliés" — abym się stał chłopcem praktycznym. Ale wtedy właśnie moje marzenia poczęły mnie karmić. Bogacze, wojskowi i rozsądne, dorosłe osoby nic mi nie dały. Znalazłem jednak sobie innych opiekunów, jak Donissan, Ménou-Segrais, Chantal, Chevance. Z ręki moich bohaterów jadałem mój chleb..."

Wszedłszy do literatury, Bernanos już w niej pozostał. W latach 1926 — 27, zamieszkując w Bagneres-de-Bigorre, pisze powieść: „L'Imposture", a zaraz potem w Clermont-de-l'Oise drugą jej część: „La joie". Już w sierpniu 1927 r. zapewnia przyjaciela w liście: „Jestem na tropie. Temat jest obszerny, do jego rozwinięcia będę potrzebował chyba dwóch tomów. Mój zły ksiądz (oczywiście Cénabre — J. D.), kiedy go raz postawię, będzie stał jak wieża..." W listopadzie 1927 zwalają się na Bernanosa kłopoty rodzinne. Skarży się: „Pracuję jak w koszmarze". Jednak w pewnym czasie napisze: „Wreszcie, na szczęście, siadłem do pracy. Żyję z dwojgiem świętych, przemiłych (ks. Chévance i Chantal — m. u.), których wymyślam w miarę pisania. Wszystko wydaje mi się promienne, nie mogę myśleć o niczym innym, mam serce pełne radości..."

„Nie wierzę już w kłamców, — powie potem — odkąd napisałem „L'Imposture", a przynajmniej mam na nich inny pogląd. Ta książka kosztowała mnie wiele pracy, kiedy ją skończyłem, byłem wstrząśnięty, jak po pracy nad siły, a napisawszy ostatni wiersz jeszcze nie wiedziałem, czy Cénabre był naprawdę, czy też nie był kłamcą. Nie wiem tego i dziś, nie przestaję pytać siebie o to. Aby zasłużyć na miano kłamcy, trzeba być całkowicie odpowiedzialnym za swoje kłamstwa..." („Les enfants humiliés").

Powieść „La joie" otrzymała w 1929 r. nagrodę tzw. Prix Femina

W 1930 r. wybucha wielki konflikt między Bernanosem a Maurrasem. Pęka w nim jak pocisk pierwszy pamflet Bernanosa: — monografia o E. Drummondzie (tym samym wielkim antysemicie, przeciwko któremu było wymierzone „Le salut par les Juifs" Leona Bloy): „La grande peur des bien pensants". Bernanos, który zaraz po wojnie opuścił szeregi Action Francaise, odchodzi także od dawnych swoich towarzyszy, w pierwszym rzędzie od Maurrasa. Między tymi dwoma ludźmi dochodzi w r. 1932 do wymiany artykułów: „Georges Bernanos, adieu!" — pisze Maurras. „A Dieu Maurras! A la douce pitié de Dieu!" — odpowiada Bernanos. Bernanos znać już wtedy musiał dobrze słabości „granitowego" wodza i teoretyka nacjonalizmu francuskiego. W wiele lat później, ale jeszcze przed zdradą Maurrasa — napisze o nim: „Znam dość dobrze Karola Maurras i wiem, że jest zdolny do popełnienia z zemsty każdego świństwa, godnego złego księdza, profesora i kancyperdy. Jeżeli je jednak popełni, — osądzi je zaraz w imieniu rzekomego Odrodziciela francuskiego Porządku i uniewinni..." („Les enfants humiliés").

Po kilkuletnim pobycie w Paryżu widzimy Bernanosa kolejno w latach 1931 — 1935 w Tulonie, w Bayorre, w Hyéres. Tam pisze „Un crime" i zaczyna „Monsieur Ouine". W 1933 r. zapalony motocyklista Bernanos ulega katastrofie połamania obu nóg. Będzie już odtąd chodził z pomocą dwóch lasek.

Zniechęcony do Francji tego okresu, a także przerażony kosztami życia decyduje się w 1935 r. wyjechać na Baleary, na Majorkę. Skończy tam „Journal d'un curé de campagne", napisze „Nouvelle histoire de Mouchette" oraz „Mauvais reve" (dotychczas niewydaną powieść). „Journal" wychodzi przynosząc mu wreszcie upragnioną sławę, nagrodę (Prix du Roman de l'Academie Francaise), uznanie — nawet u katolików. Ale niedługo dane jest Bernanosowi cieszyć się tym zwycięstwem. Niedługo także będzie mógł spokojnie pracować nad rozpoczętym wtedy po raz pierwszy „Vie de Jésus".

W Hiszpanii wybucha pucz frankistowski, który się przeradza w dwuletnią krwawą wojnę domową.

Bernanos w Palmie stanie się świadkiem walk bratobójczych. Sam razem z rodziną o mało nie padnie ofiarą akcji oddziału rządowych Katalanów. Oczywiście stary narodowiec jest sercem z puczem. Jego syn Yves wstąpił do „Falangi". Ale to wszystko doznaje nagłego zachwiania. Po Katalanach przychodzą do Palmy żołnierze Franca. To jest coś o wiele bardziej przerażającego — ta pseudo krucjata, to potworne zakłamanie! „Niebo nad Hiszpanią stało się bardziej czarne niż ostatnia sala pałacu w Alhambrze i smutne jak nigdy" (z listu) „Jestem (również z listu) u krańca wytrzymałości nerwów... Mam wrażenie, że X patrzy ze zbyt bliska na tę rewolucję militarną i klerykalną. To obraz okropny, trudno o połączenie bardziej paradoksalne i eksplodujące cynizmu i hipokryzji... Patrzę na to au naturel. Wypadek — jeden z tysiąca: wylądowała tu u nas marionetkowa banda dla zapobiegawczego „oczyszczenia" wsi. Na skutek denuncjacji (gospodynie i metresy proboszczów itp.) nałapano całą masę biedaków, tyle, że podejrzanych o brak entuzjazmu dla ruchu, po czym dla przykładu rozstrzelano ich pod cmentarzem... Niegodny biskup Majorki pozwolił na to..."

Bernanos nie należy do ludzi, którzy milczą, choćby to, co powiedzą miało być uderzeniem prosto w serce ich najserdeczniejszych wierzeń. Bernanos nie zamilczy, choćby go to nie wiem jak wiele miało kosztować. Bez wahania rzuci na szalę swą, zdobytą w końcu sławę. Z Majorki wraca do Francji z rękopisem „Les grands cimetières sous la lune". Rękopis ginie. Nic to — Bernanos pisze książkę na nowo, po raz drugi. Kiedy ją wyda — wszyscy zadrżą. Jest to bowiem najstraszniejszy pamflet, jaki katolik mógł napisać przeciwko zakłamanemu katolicyzmowi.

„Żadna z moich książek — powie potem, — nie wywołała tylu gniewów, co „Les grands cimetières". Prałaci, eminencje, generałowie zakonów koniecznie chcieli, aby książka została wniesiona na indeks. Myślę, iż dziś, w dniu powszechnych rozrachunków (pisane w 1944 r. — m. u.) są zadowoleni, że tego nie uzyskali u Jego Świątobliwości Piusa XI, którego jeden z intymnych współpracowników pisał do mnie, iż moja książka wybuchła jak bomba, ale jej eksplozja była zbawienna. Wierzę, że gdy zwalą się na Kościół niewątpliwe burze, nie będzie to rzeczą złą, iż skromny pisarz katolicki, w okresie rozpętanej nienawiści na parę lat wcześniej, uderzył bezlitośnie w kłamców, mając na oku tylko prawdę..." „Wielu się rzeczy nauczyłem w 1937 r. na Majorce" („Le chemin de la Croix-des-Ames").

„Od chwili gdy opublikowałem „Les grands cimetières", ten (sc — prestiż) który posiadałem, rozproszył się jak dym. Krytyka otoczyła mnie ciszą, która, chciałbym wierzyć, wyrażała powagę chwili..." („Les enfants humiliés").

A jednak musiał być ciężki dla Bernanosa ten nowy ostracyzm, to nowe odwrócenie się swoich. Do końca życia będzie nosił przy sobie w portfelu otrzymany z Watykanu list. Pisała w nim pewna wysoko postawiona osobistość: „Pańska książka muszę powiedzieć jest enfant terrible. Ale ja się nie boję enfants terribles, a nawet mam dla nich dużo słabości.. Jakie zrobiła tutaj wrażenie? — Bomby, której odłamki ranią boleśnie, ale której ogień jest piękny. Laudate-si, Misignone, per frate fuoco, bello, jucondo, robusto e forte!" (Bądź pozdrowiony Panie, przez brata mego, Ogień, który jest piękny i urodziwy, potężny i mocny — z hymnu św. Franciszka — m. uw.).

W latach 1937 — 38 Bernanos mieszka w Tulonie. Stąd idą w świat dwa bolesne okrzyki oburzenia wobec wewnętrznego rozkładu Francji: „Nous autres Francais" i „Scandale de verité". Pisarz zdaje się widzieć hańbę Francji, zwyciężonej — słabością moralną i zdradą jej obrońców. Już wtedy czuje, do czego będą zdolni ci „najczcigodniejsi": Pétain, Laval, Maurras, Daudet, Benjamin, Gide, Celine, Montherlant... Po Monachium ma już dosyć Europa paktów i kompromisów, zaklajstrowanego pokoju, umizgów do Hitlera. „Opuściłem (Francję) po Monachium, bo jeżeli mógł w niej jeszcze żyć człowiek wolny, nie mógł już w niej żyć człowiek z honorem" (Lettre aux Anglais). „Tym, którzy mnie pytają, dlaczego opuściłem kraj, by wyjechać do Brazylii, mogę odpowiedzieć, że przyjechałem tutaj wysiadywać mój wstyd. Wstyd jednych przytłacza, innych wtrąca w rozpacz. Należę do tych drugich". (Scandale de la verité).

Pierwotnym zamiarem Bernanosa było pojechać do Paragwaju. Potem zdecydował się na Brazylię. Pisarz postanowił założyć na skraju dziewiczej puszczy fermę. Wszystkie pieniądze, jakie miał, zostały przeznaczone na zakup stada („280 krów, wołów i byków, 8 koni, 5000 ha lasu, który zaczyna się zielenić") oraz wydzierżawienie fazendy. Oczywiście, ten zbyt realny, jak na człowieka pióra, pomysł skończyć się musiał klęską. Tak bywa zawsze. Stanowczo nie nadajemy się na przedsiębiorców; jeśli żyjemy, to tylko i wyłącznie z łaski naszych bohaterów. „Koło nas ludzie robią fortunę na wołach" — pisze Bernanos w liście w 1940 r. On jej nie zrobił.

Nie łatwo płynie życie w amerykańskiej puszczy! Znowu wielokrotna zmiana miejsca zamieszkania: Juiz de Fora, Vassouras, Pirapora, Barbacena. „Pociąg nie idzie dalej. Dalej, w kierunku Boliwii, za Goyaz lub Natto-Grosso, gdzie płynie tajemnicza Amazonka, rozciąga się puszcza bez dróg, Sertao, palona co roku męczarnią posuchy i gubiąca się o parę tysięcy kilometrów dalej w bagnach czarnej dżunglii, skrywającej skrzętnie tyle tajemnic..." (Dans l'amitié de Leon Bloy). „Nie wyobrażajcie sobie, że między wysokim płaskowzgórzem Minas pokrytym mgłą a złotymi miastami wybrzeża rosną dziewicze puszcze, o jakich marzyliśmy w dzieciństwie... Na setkach, setkach kilometrów nie znajdziecie nic poza pagórkami z gliny, wymodelowanymi przez deszcze, z których spływają przez dzień i noc, potoki piany i błota w doliny..." (Le Chemin de la Croix-des Ames). „Gdy zapada wieczór nad tą tropikalną ziemią, która zaledwie zna człowieka, która nie ma przeszłości, wspomnień, nad tą ziemią tak biedną pod nieustępliwym słońcem, zużytą do kości, aż do żelaznego szkieletu przez swą zabawną roślinność, przez te niepotrzebne, poskręcane niby w tężcu drzewka, z sercem pełnym mrówek, gorzkich traw i bezkrwistych kwiatów, na tę ziemię bezpłodną, zanim jeszcze ofiarowała swój plon, — pytam siebie czy naprawdę przekroczyłem już próg samotności, spoza którego nie ma już powrotu. Potem zaczyna dąć wiatr, nie wiadomo skąd przybyły, spadły z obcego mi nieba, a liście odpowiadają mu metalicznym dźwiękiem i złote ropuchy krótkim spazmem krzyku ze swych kryształowych gardeł. Wtedy myślę, że każda samotność ma swój koniec, ale trzeba go wpierw znaleźć, trzeba przewędrować samotność z powrotem, jak się wędruje z powrotem przez noc aż do świtu..." (Les enfants humiliés).

Pisarza ogarnia nostalgia, żałosna tęsknota, ból świadomości, że jest tak daleko od opuszczonej „Patny"! To tam, w Pirapora przełamują się w Bernanosie dwa uczucia: gniew przeciw nędznym małym, miernym—z miłością do nich, nawet do takich, jakimi są. Wszyscy ci moi, wielcy inkwizytorzy docierają, poprzez własne cierpienie, do dna miłosierdzia. Patetyczni ofiarnicy walczą całe życie dla drugich, aż wreszcie, pewnego dnia, uświadamiają sobie, że i im ci drudzy są potrzebni. „To, co podcina moją odwagę — pisze Bernanos do przyjaciela, — to wrażenia, nie wiem skąd się biorące, że jestem przez wszystkich zapomniany, że wszyscy się mnie wyrzekli, że już nie potrafię znaleźć do was dojścia w tym doświadczeniu, na które, obawiam się, patrzę inaczej niż wy, którego nie przyjmuję pod tym imieniem, jakie mu nadajecie, że wreszcie nie oczekuję niczego, niczego, niczego..."

„Nie chciałbym cię zanudzać mymi skargami w obecnym czasie. Ale ty nawet nie wiesz! Czy nikt nie przyjdzie mi z pomocą? Robię co mogę, pracuję, daję wam, ile potrafię. Policzymy się w niebie..."

„Codziennie budzę się i mówię sobie: ktoś przyjdzie. Przyjaciela, jedynego przyjaciela, nie żądam chyba zbyt wiele!"

„Złożę chyba ogłoszenie do gazet: Jerzy Bernanos poszukuje przyjaciela. Przejazd opłacony. Dobre wynagrodzenie. Fortuna zapewniona. Godzina przyjaźni na tydzień..." (z listów).

I zaraz po tym bolesnym okrzyku zdania pełne zjadliwej ironii, jakby zdradzające zagubiony, wedle pana Guerou, sekret sztuki „mówienia frywolnie o rzeczach poważnych i poważnie — o frywolnych" (L'Imposture):

„Może mi powiesz, że w braku przyjaźni powinienem zabawić się w miłostki w Pirapora? Owszem, jest taka dzielnica w Pirapora, wzdłuż San Francisco. Wszystkie zamieszkujące ją Murzyneczki bywają w niedzielę w kościele, a jeden z tutejszych najbardziej notorycznych pederastów jest Dzieckiem Maryi (bo tutaj chłopcy są dziećmi Maryi) i występuje na procesjach przepasany błękitną wstęgą. Nie! Flirt z bigotkami to nad moje siły!" (z listu).

Tam, w Pirapora i w Barbacena, Bernanos wykańcza „Monsieur Ouine" i pisze „Les enfants humiliés". Ten ostatni utwór, ta bolesna, pełna wspomnień książka, miała swą dziwną historię. Habent sua fata libelli... Jedyny jej rękopis, przesłany wiosną 1940 r. do Francji, znalazł się w walizce jednego z wyższych oficerów i razem z nią zaginął w bałaganie majowo - czerwcowej kampanii. Zdarzają się jednak nieoczekiwanie odkrycia — i zagubiona walizka wypłynęła niespodziewanie na światło dzienne, ale dopiero w 1948 r.—Bernanos był już w agonii. Zdołał tylko wyrazić zgodę na wydanie książki, nawet nie dając jej tytułu. Obecny tytuł pochodzi od wydawców.

Poza wymienionymi dwiema książkami pobyt Bernanosa w Brazylii charakteryzuje ogromna, wyczerpująca, gorączkowa twórczość publicystyczno - wojownicza, to co Francuzi nazywają „oeuvre de combat". Z artykułów, drukowanych w prasie, z audycyj wygłaszanych przez radio, urastają książki: „Lettre aux Anglais", „La France contre les robots", „Le chemin de la Croix-des-Ames". Są one coraz gwałtowniejsze w tonie i — coraz boleśniejsze w treści.

Siedmioletni pobyt z dala od ojczyzny, straszliwa walka, jaką toczył — choć nie mógł towarzyszyć synom w wojsku — spaliła do reszty pisarza. Czuł, że zwycięstwo, które nadchodziło, nie było pełnym zwycięstwem, ponie-

(ciąg dalszy na str. 8)

CZYTAJCIE
»SŁOWO POWSZECHNE«

DROGA DO LITERATURY

(dokończenie ze str. 7)

waż nie zwyciężyło źródła zła. Nie takiego zwycięstwa pragnął.

Słowa pisarza brzmią coraz tragiczniej:

„Nie można pojąć cywilizacji współczesnej, jeżeli się nie przyjmie, że jest ona powszechnym spiskiem przeciwko wszelkiego rodzaju wewnętrznemu życiu..."

„Niebezpieczeństwo tkwi nie w mnożeniu maszyn, ale w rosnącej wciąż liczbie ludzi przyzwyczajonych od dzieciństwa do domagania się wszystkiego, czego mogą dostarczyć maszyny..."

Znowu powraca do swego podstawowego tematu:

„Mierność nie jest nigdy nieszkodliwa. Pokój miernych nie rodzi miernych katastrof. Pokój miernych wywołuje totalne wojny" (Le Chemin de la Croix-des-Ames).

Wojna się wreszcie skończyła. Bernanos nie wie czy ma wracać do Francji. Namyśla się. Przeczuwa co tam znajdzie. Potem — w dwa lata po powrocie — powie: „Są tacy, co wyobrażają sobie, że odbudują wielkość Francji dzięki importowi amerykańskich traktorów. A dusza kraju? A dusza kraju? Czyż oni niczego nie rozumieją?" (Ks. Pezeril „Bernanos et sa mort"). Ale przyjaciele nalegają. Wtedy pisarz idzie do małego klasztorku, obok miejscowości, w której mieszka, i prosi o radę przełożonego. Przeor, Niemiec z pochodzenia (cóż za paradoks!) mówi mu: „Winieneś służyć ojczyźnie". Posłuszny tej radzie, w której chce widzieć wolę Bożą, powraca. Czuje, że ten powrót równa się wyrokowi śmierci wydanemu na siebie. Mimo tego przypływa do Francji. I zaraz poczyna pisać gwałtowne, gorączkowe artykuły.

Nareszcie jest uznany, oceniony. Skolaborowana Francja gotowa jest w nim czcić tego, który nigdy nie prowadził podwójnej gry. Odrabiający krzykiem swą zdradę burżuje francuscy nagle poczynają wznosić okrzyki na cześć jego męstwa — i jego prawości. Skompromitowani katolicy chętniej zasłaniają się teraz Bernanosem niż Mauriac'em, który przesiedział całą okupację w... swym gabinecie na Theophile Gautieri, niż Montherlantem, który musi rejterować do Szwajcarii...

Bernanos czuje jednak całą gorycz takiej sławy. Teraz mu darowano nawet „Les grands cimetières"! Teraz przestano mówić o jego manicheizmie. Wszystkie pisma katolickie — po „La Croix" — stoją przed nim otworem. Czy to jest jednak świadectwo wielkiej przemiany — przemiany wewnętrznej — czy tylko konionkturalnego pokostu?

Pisarz jest smutny, przygnębiony, przybity hańbą Francji, której ogrom widzi teraz dopiero. Rośnie w nim także przerażenie wobec coraz groźniejszego zalewu mierności. „Nasz zawód nie będzie nigdy większy, — pisze do przyjaciela — niż zawód Żydów, gdy widzieli swego Mesjasza pod postacią biednego Człowieka, zawieszonego na gwoździach na skraju drogi, ponad tłumem, obojętnym lub drwiącym, wśród krzyku i pyłu, w przeddzień Paschy— niby w wigilię 14 lipca, gdy płoną lampiony i trzaskają ognie sztuczne... Więc to jest Mesjasz? Więc to jest Kościół?"

Nie zatrzymuje się w jednym miejscu. On, marzący o spokojnym„ osiadłym „chłopskim" życiu, jak ktoś, kto chciałby raz jeszcze przed śmiercią zobaczyć wszystko co kocha, przenosi się z miasta do miasta, z Paryża do Avallon, z Sisteron do Baudol, z La Chapelle-Vendomoise do Paryża.

Powraca do niego uczucie dławiącej samotności:

„Czuję się bardzo samotny i zawsze gdy mnie świadomość samotności ogarnia, mówię sobie, że jestem może w tym samym czasie sam z tobą...

Jest w tej aferze Bikini coś z okrutnego żartu i okropnej a zarazem nadętej głupoty, że człowiek czuje zawrót głowy lub mdłości. Zobaczymy Bestię wstępującą cum virtute multa et majestate...

Od dziesięciu miesięcy piszę po kilkanaście stron dziennie i to jest dla mnie o wiele za dużo..." (z listu).

W 1947 r. Bernanos wyjeżdża do Tunisu: do Gabes i do Hammamet. Tutaj rozpoczyna pracę nad swą wymarzoną książką — nad „Życiem Jezusa" — do której szkice robił już na Majorce. Po raz trzeci, skompromitowana po wojnie w tylu swych przedstawicielach, Akademia Francuska zaprasza Bernanosa do swego grona. Ale on odmawia. Ostatnim „orywem sił zdobywa się jeszcze na dzieło literackie. Pisze: „Dialogues des carmelites".

Miały to być dialogi do scenariusza filmowego, opartego na noweli Gertrudy von le Fort „Die letzte am schafott". Ale Bernanos, któremu utwór niemieckiej autorki musiał zapaść głęboko w serce, podejmuje opracowany przez nią temat i tworzy zeń nowy zupełnie, wstrząsający, niewątpliwie najsilniejszy w wyrazie spośród wszystkich swoich książek, utwór. Dialogi — to dramat niesceniczny, dramat agonii. Bernanos, pisząc o bohaterkach słynnej historii karmelitanek z Compiegne — pisze cały czas o sobie. Umiera kolejno wraz z matką de Croissy, potem z innymi siostrami, wreszcie z Blanką od Jezusa Agonizującego w Ogrójcu. Że myśli o sobie, to zdradzają choćby słowa, które mówi jedna z sióstr karmelitanek do umierającej przełożonej klasztoru: „Gdybym mogła uratować życie naszej drogiej matki, dała bym chętnie moje nędzne życie... Ale cóż, czy w pięćdziesiątym dziewiątym roku życia nie należy już umierać?" (Dialogues des carmelites). W tymże pięćdziesiątym dziewiątym roku życia umierał pisarz, przewieziony przez przyjaciela w stanie beznadziejnym z Tunisu do Paryża i umieszczony w amerykańskim szpitalu wojskowym w Neuilly.

Bernanos kona długo, wśród nieopisanych cierpień. Agonizuje tygodniami. Lecz codziennie przyjmuje komunię św. z rąk ks. Pezeril, w duchu najgłębszej wiary i pobożności. Jeszcze w chwilach, gdy się lepiej czuje, marzy o dalszej pracy. Jakiś czas waha się, myśląc, nad czym będzie teraz pracować: nad swoim wymarzonym „Życiem Jezusa", czy też nad straszliwą „cyklika do Francuzów". Encyk. ..a? — mówi do ks. Pezeril — Zaczynam układać papieża... Ale dlaczegoż papież nie mówi? Trzeba ludzi postawić na nogi, a wtedy będą szli. Wzdychają do jednego: aby im dano komendę... Ja sam chciałbym tylko słuchać". (Ks. Pezeril „Bernanos et sa mort"). Ale potem zdecydował, jakby pod wpływem natchnienia, że poświęci się wyłącznie „Życiu Jezusa": „Czy nie sądzi ksiądz, że takiego wyrzeczenia żąda ode mnie Bóg? Nie chcę już pisać powieści. Nic — tylko „Vie de Jésus". Wedle mego planu potrzeba mi na to dwa lata..."

Nie dane mu było jednak zrealizować tego planu. Może zostawił go najbliższym swoim przyjaciołom, duchowym spadkobiercom, którzy go otaczali? — przede wszyskim Lucowi Esang. Umarł 5 lipca 1948 r. Nad jego grobem, oprócz garstki przyjaciół, pochylili się tylko — przedstawiciele emigranckiego republikańskiego rządu hiszpańskiego, Brazylii i Paragwaju. Zabrakło przedstawicieli Francji...

Kiedy jeszcze zmagał się z bólami choroby, jego cierpienia pomnażała świadomość, że pozostawia rodzinę bez zabezpieczenia. Nie zrobił przecież majątku ani na wołach w Brazylii, ani na książkach. Życie miał pełne trosk o to, co jego najbliżsi będą jedli. W r. 1936 pisał z Majorki do przyjaciela: „Cisza ze strony X dowodzi mi, jak sądzę, iż mój deficyt urósł do wysokości góry, wobec której tracę resztę odwagi". „Wiem, — pisze w rok później — że w dniu, w którym nie będę mógł już więcej pisać, zdechnę z głodu. Pogodziłem się z tą myślą. Ale nie mogę przecież żebrać przez całe życie! Chciałbym jeszcze zdobyć się na ten wysiłek. Potem już przestanę. Naprawdę, zbyt wiele mnie dotyka ze wszystkich stron...." Nie inaczej w 1946 r. po powrocie do kraju: „Ciągle kłopoty finansowe, ponieważ piszę bardzo ciężko, bardzo wolno, a mimo tego ledwo daję rade, by utrzymać dziewięć dużych i małych osób, które są pod moją opieką..." (z listów).

Może spotykały go zarzuty, że przecież **tyle** pisze — **tyle** musi zarabiać. Pytano go może z zawistnym uśmieszkiem na ustach: ileż to znowu uzyskał z tłumaczeń? Wtedy odpowiadał: „Sytuacja obecna pisarza francuskiego czyni go prawie proletariuszem. Oczywiście cena sprzedażna utworu nie mówi jeszcze niczego o jego wartości rzeczywistej. Georges Ohnet sprzedawał się wspaniale. Mogę powiedzieć, bez narażenia się na drwiny, że jestem jednym z pisarzy francuskich, którzy zawdzięczają bardzo wiele dobroczynności publicznej. Wprawdzie moje książki, tłumaczone na wszystkie prawie języki, przynosiły mi średnio 35 tys. franków rocznie. Ale gdy ma się do wykarmienia sześcioro dzieci..." (Les grands cimetières sous la lune). „A o majątku nie mówmy! Nie potrafiłbym się wzbogacić w żadnym ustroju. Myślę jednak, że zachowuję zasady gry. Posiadam na wet tę kokieterię, że wychowuję sześcioro dzieci w epoce, w której ojcowie rodzin zasługują bardziej niż kiedykolwiek na tytuł, jaki im dał Péguy, gdy ich nazywał: wielkimi awanturnikami świata..." („Nous autres Francais").

„Nie miewam zachcianek — wybuchnął w „Les enfants humiliés". — Nigdy ich nie miałem. Brakło mi do tego czasu... Nie ma za co kupić sobie luksusowych zachcianek, gdy się pracuje na końcu stołu, zagrożony wciąż bezsensowną zmianą mieszkania i bezsensownymi kalkulacjami, uzależnionymi od kursu franka, piastra, pesety czy milrejsa — lub wreszcie humorów wydawcy. Żyłem życiem psa — to pewne... Moje książki idą, ale publiczność, niestety, nie wie, że nawet wielkie nakłady nie czynią nas jeszcze bogaczami... Żyjemy z pracy, a nie z odkładanego zysku, żyjemy i pracujemy z dnia na dzień, nasza praca i nasze życie są same naszym chlebem — panis quotidianus. Wbrew słynnej zasadzie że „trzeba coś odkładać na czarną godzinę, na potem"... pieniądze były zawsze za nami i to daleko za nami, tak daleko, że trzeba było nam nieraz siąść z żoną i z bachorami i w niepokoju oczekiwać na nie... Nie składaliśmy ślubu ubóstwa, jak tylu zakonników, to Bóg sam złożył go za nas i jeżeli nie chcemy mu być posłuszni, On wykonuje go za nas: sam jest Ubogi i dlatego my musimy być ubodzy; przebił nam nasze dłonie, abyśmy niczego w nich nie mogli utrzymać..."

W godzinach agonii dręczący strach o los rodziny napełnia Bernanosa „Zamęczały go — pisze ks. Daniel Pezeril, — troski materialne. Choroba trwała. Obliczał. Był przerażony gdy pojawiła się potrzeba pielęgniarki nocnej". „Jak ja z tego wybrnę? Jeżeli umrę, co będzie z moimi?" Plątał rachunek sumienia z rachunkami wydatków. Powracały do niego najnędzniejsze godziny jego życia, przypominał sobie Majorkę i słynną umowę z wydawcą „Journal d'un curé" według której miał otrzymywać 60 franków za stronę rękopisu. I jeszcze trzeba było te strony dosłać do Paryża. „Moja żona i dzieci nie miały co jeść... Prosiły mnie: Jerzy, twoje strony... twoje strony.., Jak koszmar mam te słowa w uszach". (Bernanos et sa mort).

Tak — to była czysta gra — gra konsekwentna. To było życie nie tylko zdobywane z łaski bohaterów, ale i z ich życiem cierpiące. Życie walki, zaciekłej, nieustępliwej, podjętej pewnego dnia przed dwudziestu dwoma laty. A nawet wcześniej. Jest taki list Bernanosa z r. 1919 do przyjaciela. „Czegoż mamy bardziej oczekiwać, jak rozciągnięcia na Krzyżu? Niestety, niestety, aż do dnia, aż do wzejścia przerażającego słońca, zapędzi na najwyższy szczyt nadziei, ogarnięci ciemnościami — czy trzymamy się jeszcze nad przepaścią na poszarpanych dłoniach? Tłum na dole wzywa nas swym rżeniem. A w nas samych zgnilizna trzydziestu lat życia... Jedyna pomoc w woli, na pół rozłożonej siłą przyzwyczajeń, które trzeba z siebie wyrywać obu dłońmi. Zaś przed nami — śmiertelny przeciwnik..."

Przeciwnik? Tak. Ten sam, którego ks. Donissa spotkał na drodze z Campagne do Etaples. Ten, którego czujemy obok Cenabre'a i Fiedora, Ouine'a i Jambe-de-Laine'y. Może to jego wyzywały tajemnicze słowa, rzucone przez Bernanosa w ostatniej chwili agonii: „A teraz my dwaj..." Tyle o nim ostatnio znowu myślał, przygotowując się do swego „Życia Jezusa". Już w Gabes mówił mi — wspomina ks. Pezeril, — że rozmyśla o tej książce. Interesowały go dogmaty. Rozważał: szatan od swego buntu oczekiwał wcielenia Syna Bożego. Nie spoczywał, pragnąc Go odkryć. Może nawet kusił Adama, obawiając się, że to on mógł być Panem. Poprzez Stary Testament tyle dusz było przezeń prześladowanych — tak był przerażony zbliżającym się nadejściem. W tym duchu pobiegł za Jezusem na pustynię..." (Bernanos et sa mort).

Tak czy inaczej — z tym przeciwnikiem walka szła do ostatniej chwili.

Jan Dobraczyński

Antoni PODSIAD

Po sześciu latach

Mówisz, że gwiazdy na niebie flirtują —
lecz jak tu zerwać z oczu
srebrną zasłonę z łez,
gdy — popatrz:
— drży przyprószona słonecznym pyłem wieś,
— płotka na haczyku spod łusek strzepuje
płynne, dukatowe złoto.

Biodro w biodro na spróchniałym moście
sierpniowi narzeczeni.
„Śmiej się, lecz jestem zazdrosna w miłości,
bo ta zielona gwiazda czegoś się rumieni
i puszcza perskie oko".

Polna kobieta — pracowity mak
kosi owies na szóstych dożynkach.
Wyżej — świątynia w gruzy upadła na wznak
U stóp kościoła dziewczynka
z lalką odprawia nieszpór
i pozdrawia przechodnia:
„Dobrywieczór".

Mówisz, że gwiazdy na niebie flirtują,
lecz nie dziw się po latach sześciu:
mleczna matka zbiera słoneczny plon,
ufna dziewczynka lalkę pieści,
dźwigniemy z ruin Boży Dom,
a most z westchnieniem, most drewniany?
— tylko dla zakochanych. 1950

Jan MOTULKO tłum. Józef Maciej Kononowicz

SUMIENIE*)

Opowiadanie

Nad morzem, od strony wschodu, już miała się zjawić blada smuga. Zdało się, że tam daleko jak tylko oczy mogą sięgnąć, otwierają się ciężkie powieki nieba — ale wnet się przymknęły.

Nie było widać już nic. Tylko morze huczało w dali i drobne fale rozbijały się o skaliste wybrzeże. To były pierwsze oznaki życia nad ranem. Tylko wody w zatoce za skałami nie ożywiały się. Nie wiał tam wiatr ani zefir najlżejszy, toteż miejsca tamte budziły się ostatnie.

Nie było widać najmniejszej gwiazdy, nie było słychać żadnego głosu, tylko morze nieustannie huczało bezmiarem swych wód i biło tak, jak gdyby niespokojne, chore serce biło w olbrzymich piersiach.

Potem, kiedy się już miało rozwidnić, od strony Pescarivy przybliżyły się głosy. Brzmiały niespokojnie i lękliwie. Gdy przybliżyły się na brzeg morza, naraz ścichły. W dali, na widnokręgu, tam, gdzie się miała pojawić wąska, blada pręga, błysnęło kilka słabych światełek. Tak, jakby we mgle mignęły blaski robaczków świętojańskich. Albo jak gdyby gwiazdy przebłysły przez zachmurzone niebo.

Głosy nad morzem ozwały się:

— Już idą.

— Mogliby się pośpieszyć!

Światełka się znów pojawiły, ale w tym momencie jakby się było niebo nad nimi przerwało, zsiniało, po tym sfioletowiało, spopielało i światełka zatraciły się w tych barwach.

Znów dało się słyszeć głosy. Teraz można już było wyczuć w nich wyraźny niepokój.

— Spójrz, Bruno, burza!

Cisza.

Potem znów:

— Nie powinni wyruszać, wieczorem czułem, że na to przyjdzie.

— Czy tylko aby uda im się dostać na czas do zatoki?

— Rozbiją się na skałach za Skorpionem!

Smuga rozrastała się i poszerzała. Była całkiem popielata i przez nią jak pajęcze nici, ciągnęły się czerwonofioletowe promienie.

Głosy naradzały się. W tych ciemnościach była to raczej zwada, niż narada. W końcu ów spór podniecony skończył się okrzykami.

— Zapalmy stos, aby się strzegli!

— Zapalmy!

Słychać było głuche tupotanie, słychać było, jak się pod szybkimi krokami usuwają kamyki. Tego, jak z pluskiem padały do morskiej wody, nie było słychać. Szum z dołu, od morza był taki, że przegłuszał wszystko.

Na skale, która z zatoki wgryzała się w morze najdalej, buchnął niespokojny płomień. Ale w tej chwili zadął silny wiatr i począł szarpać płomienie na strony.

— Za późno... — ozwało się westchnienie z kilku piersi.

Morze silniej zahuczało, małe fale uniosły się i przelały przez twarde skały, wyrastające znad wody. Na morzu znów pojawiły się światełka ale teraz już bliżej.

Ludzie, stojący przy ogniu, sięgali po rozpalone polana, wyciągali je z ogniska i wymachiwali nimi na strony. Światła z morza odpowiadały im.

— Spostrzegli nas!

Człowiek, stojący całkiem w przodzie, któremu ogień oświetlał plecy, rzucił rozżarzone polano do morza i począł biec ku zatoce. Po niewielu skokach obrócił się w kierunku ogniska, ku tym, którzy zostali i krzyknął:

— Idę im naprzeciw. Choćby tylko do skał Skorpiona.

Ci przy ognisku oniemieli. Nikt nie wydobył słowa, jak gdyby w pierwszej chwili nie mogli pojąć, co ten szaleniec z dołu powiedział. Potem wyciągnęli za nim ręce...

— Mario, Mario, wróć się, zginiesz i ty!

Ale Maria już nie było.

Po chwili widzieli, jak się pojawił z małą łódką w cichej wodzie zatoki i jak się zbliżał do Gardła, które łączy spokojną wodę zatoki z rozwścieczoną, niezmierzoną powierzchnią morza.

Woda między skałami syczała, pieniła się, fale drapały się na skałę i potem, rozbite, ściekały z niej.

— Mario, Mario — krzyczeli, gdy ujrzeli go, wpływającego swym biednym czółenkiem do Gardła.

Nagle ucichli. Maria z łódką zakryły fale i długo niczego nie było widać. To była ciężka chwila. Siwa smuga sponad morza przerastała już pobrzeże. Ogień dogasał i w rannym brzasku widać było wzdęte morze i daleko na nim cztery małe, ciemnawe plamki, które to się wynurzały z wody, to znów zapadały.

— Aaaach... — zachrypiały głosy na skale.

Mariowa łódka pojawiła się za skałami Gardła i pierwsza fala z morza przewaliła się na nią. Łódka podskoczyła, siedzący w niej mężczyzna wyprężył się jak struna i ściągnął wiosła do tyłu. Znów niczego nie było widać. Ale wkrótce druga fala wyniosła Maria na swój grzbiet i podała go dalej.

Z tych pięciu, stojących na skale, jeden pobiegł do wsi i po kilku chwilach z wieży pescarivańskiego kościoła ozwały się dzwony.

Już się zupełnie rozwidniło. Morze rosło i pierwsza fala przelała się przez skałę, na której płonął ogień. Woda zasyczała w popiele i rozżarzonych węglach i dźwięknęły kamienie.

Ode wsi w wielkim zgiełku biegły niewiasty, wyciągając ku morzu nagie ramiona, a mężczyźni nieśli drągi. Kobietom wiatr porywał chustki z głów, mężczyźni biegli z odkrytymi głowami, ściskali kapelusze w garściach gdy im je wiatr pozdzierał z głów.

Padały pierwsze, ciężkie krople deszczu. Ludzie biegali wzdłuż brzegu tu i tam, zlewała ich woda i ta słodka, deszczowa i ta słona, morska. Lamentowali bezustannie.

Ku morzu przybiegła kobieta bosa, bez chustki, z przemoczonymi włosami.

— Nikola, Mario...!

Chciała jeszcze coś krzyknąć do wodnych przestworzy, ale zbliżyła się ku morzu tak nieopatrznie blisko, że wnet po tych dwu słowach zalała ją wielka fala i spłukała ją do morza jak mały wieczeć.

— Francesca...!

Przyskoczyli mężczyźni z hakiem na drągu, przybliżyła się druga fala, ale już jeden zachwycił hakiem ubranie i kiedy fala wróciła — zostawiła kobietę na piasku. Odciągnęli ją na miejsce, gdzie woda nie mogła już sięgnąć, rozluźnili jej szaty i wytłoczyli wodę.

Bicie serca można było wyczuć, ale słabo. Piersi się wznosiły, ale ledwo dostrzegalnie. Deszcz bez przerwy lał, więc ją odnieśli pod dwie wysokie pinie, które stały przy kamienistej drodze, prowadzącej do wsi. Zostały przy niej kobiety, które nie wiedziały, co pierwej robić: czy trzymać się aby ich wiatr nie powalił, czy troszczyć się o przemoczoną niewiastę, czy patrzeć na morze, gdzie z jednej strony ku Skorpionowi zbliżały się cztery czółna od morza, a od przedniej strony czółno Mariowe.

Te czółna od morza było już widać wyraźnie, fale niosły je tu i tam, raz wynosiły je na swój grzbiet, to znów skrywały je w swych wnętrznościach, raz zbijały je ku sobie, raz roznosiły je daleko od siebie. Ludzie w czółnach wspinali się jak spłoszone konie przed wysoką przeszkodą, której nie można przeskoczyć.

Ci na wybrzeżu zbili się do kupy jak owce, którym grozi niebezpieczeństwo. Widzieli, że tamci na morzu są już niedaleko skał, które rybacy nazywali Skorpionem. Były to dwie wysokie skały, których dwa dłuższe ramiona jak rozwarte nożyce wchodziły w morze. Woda pieniła się między nimi, skały kryły się pod falami, a rozwścieczony prąd gnał czółna prosto ku nim.

Od strony morza dobiegły jakieś krzyki. Potem kilka olbrzymich fal przelało się przez Skorpion, czółna płynęły prosto na skały — i te cztery od morza i to jedno z Mariem. Skały się całkiem w wodzie straciły, nie było widać ani skały ani czółna, aż po niedługiej chwili, kiedy Skorpion znowu wychynął ponad wodę, zjawiło się niedaleko odeń jedno czółno, przewalone do góry dnem. Za nim drugie. A po tym już nic więcej...

Morze burzyło się cały dzień i całą noc. W chwilach, kiedy uspakajało się, co odważniejsi wskakiwali do łodzi — ale każdorazowo zawracali od Gardła do zatoki. Wreszcie następnego dnia, nad ranem, morze uciszyło się na tyle, że trzy czółna z najodważniejszymi ludźmi wybrały się ku Skorpionowi. Szczęśliwie przebyli Gardło — ale na wolnym morzu chwyciły ich fale. Był to już ostatni skurcz, który chwycił wody. Potem się nagle chmury rozpierzchły, ze szczerbin wyjrzało gładkie, czyste oko nieba, wiatr ustał i

mężczyznom w łódkach już się spokojniej napinały ręce, kiedy zagarniali wiosłami po wodzie.

Ludzie z brzegu śledzili ich oczami pełnymi nadziei. Stała tam Francesca żona Nicolova, a matka Mariova; nie płakała, ale twarz miała ściągniętą, zęby zaciśnięte, że kości policzkowe były całkiem widoczne. Tam stała Maggese, córka młodego Sergia. Matka Mariova trzymała ją pod pazuchą. Tam stała Elisa, twarz drapała paznokciami i rwała swe czarne włosy. Dwoje małych dzieci trzymało się jej sukni; płakały, choć nawet nie wiedziały dlaczego płaczą. Stały tam nieco dalej: Dorotea i Grazia, Vittoria i Luisa, Antonia, Anna i Giovanna, która trzęsła się, gdy dowiedziała się, że Mario wybrał się na morze w pomoc tym biedakom. Tuż przy wodzie stali mężczyźni: Bruno, Clemente i Maurizio. Potem z Pascarivy naschodzili się i dalsi. W domach pozostali tylko starcy i dzieci.

Po niedługiej chwili zjawili się na czółnach chłopcy z Rupenery i Roccabasy. Wnet poczęli płynąć ku Skorpionowi w ślad za pascarivańcami. Kiedy dobili do skał, widzieli, jak chłopcy z Pascarivy niosą dwu ludzi.

— Mario! — zakrzyknął ktoś, gdy ujrzał tego młodszego, jak go w drodze ku czółnom podtrzymywali za ramiona. Drugiego nieśli. Leżał im bezwładnie na rękach, głowa mu zwisała i ręce i nogi. Powieki nie przykrywały oczu, które były wywrócone i zamulone drobnym piaskiem.

Ściągnęli czapki i kapelusze z głów, po tym je znów nasadzili i po płytkim morskim dnie przy skałach macali bokami na drągach — ale za każdym razem wyciągali je próżne. Znaleźli trzy czapki, kilka desek z rozbitych czółen i jedno wiosło.

Kiedy już przejrzeli wodę przy Skorpionie i nie znaleźli niczego więcej, wrócili czółnami do brzegu.

Nie był to pierwszy wypadek, gdy morze zażądało dla siebie ofiary. Niewiasty musiały być zawsze przygotowane na to, że mężczyźni, wyruszający na morze, bardzo łatwo mogą nie powrócić. Z jednej rodziny nigdy nie mogli odejść na morze wszyscy mężczyźni.

Tak odpływali i wracali, odpływali i nie wracali. Kiedy wrócili, życie płynęło jak przedtem. Spokojnie i cicho w twardej pracy. Kiedy nie powrócili, życie biegło i tak swoim tokiem.

Ale tym razem było inaczej. Teraz na morzu został i starosta wsi, ojciec Mariovy — Nicola. To był ostatni mądry i dzielny mąż, którego uznawała bez zastrzeżeń cała wieś. Z jego rówieśników żaden już nie był taki mądry.

Po pogrzebie, gdy się mężczyźni zeszli w jednej z chałup aby spomiędzy siebie wyłonić nowego starostę, jedni powiadali:

— Nicolo nas dobrze prowadził. Kiedy już ze starych, z jego rówieśników nie mamy godnego, byłoby dobrze aby ten urząd został w rodzinie. Mario jest dzielny, silny i rozważny, okazał nam to dobrze w czasie ostatniej burzy. Niech tedy on zostanie starostą.

— Ho... Ho... — śmiali się inni. — Matczyne mleko ma jeszcze na brodzie. My chcemy Maurizia i tego sobie wybierzemy. Przeszedł kawał świata, poznał nowości, o jakich myśmy tu jeszcze nie słyszeli. Widział on, jak pracują gdzie indziej, gdzie i najuboższy ma pomoc z zarobków wszystkich. Odtąd będziemy gospodarzyć wspólnie i wspólnie chcemy dzielić się zyskami. Tak będziemy robić i —

— Tchórz nigdy nie będzie naszym starostą! — odezwał się nowy głos. Widzieliście, że nie wyruszył na morze nawet teraz, kiedy się już wody uspokoiły i nie było żadnego niebezpieczeństwa. Jak się potem będzie taki człowiek troszczyć o nasze życie w niebezpieczeństwie.

Maurizio pobladł i zaraz poczerwieniał od złości. Zdawało się, że od nienawiści rozleje mu się wszystka żółć.

— A kto z was się odważył na morze w taką burzę, jak ta ostatnia? — zasyczał do mężczyzn, którzy byli przeciw niemu.

— Mario!

— Mario! — Krzyknęli niektórzy.

— Głupcy jesteście. Wiecie dlaczego poszedł?

— No? — ozwały się wyzywająco głosy.

— Bo miał tam ojca. żebyście wiedzieli, kiedyście całkiem ślepi i głusi, że nie widzicie i nie słyszycie.

— Kręcisz, Maurizio, kręcisz aby ukryć swoje tchórzostwo.

— Nie kręci, tylko chce dobrze dla nas wszystkich — ozwali się w obronie jego przyjaciele.

— Zobaczycie, jak nam będzie dobrze. Na morze będziemy wyruszać według planu. Łów rozdzielimy tak, że i dla nas, biedaków zostanie coś z zarobków — darł się Clemente, największy leniwiec i próżniak we wsi.

Mężczyźni śmiali się wesoło z tej mowy. Drużyna Mauriziova zaczęła się odgrażać, ba, Clemente wyciągnął nóż i chciał nim pchnąć Maria, ale Mariovi sprzymierzeńcy wykręcili mu żelazo z ręki i wyrzucili precz.

Tak oto Mario został starostą w Pescarivie, ale to już nie było to życie, jak za rządów starego Nicola.

Kiedy wyruszano na morze, to zawsze w dwu gromadach. Mauriziovi ludzie jasno okazywali Mariovi, że nie uznają go za starszego i że nie będą go słuchać. Raz uszkodzili mu czółno, innym razem ukradli wiosła albo odcięli sieci. Byli pełni nienawiści, bo przy tym wszystkim gromadzie Maria powodziło się lepiej. Zazwyczaj powracali z morza z bogatszym łupem i z większym zarobkiem z miasta. Przy sprzedaży był zawsze Mario. Poznawał kupców, którzy wierzyli mu i mieli zaufanie do jego towaru. Przy tym kupców przyciągały i piękne, czarne oczy i włosy Giovanny, narzeczonej Maria. Mauriziovcy płonęli złością, a sam Maurizio tym bardziej, że wiedział, iż Giovanna, na którą robił sobie nadzieje od roku, mimo jego zalecanek zostaje wierna Mariovi.

— Przecież nie będzie Mariowa! — powiadał sobie, kiedy przed wieczorem widywał ich powracających wesoło i spokojnie z miasta.

Z początku patrzał na nich nienawistnie. Ale potem się nagle roześmiał. Sam szatan by lepiej nie potrafił. Wieczorem, gdy przyszedł do niego Clemente i Bruno, zwierzył im swój zamiar. Śmiali się społem, śmiali się ostro, śmiali się szatańsko. Maurizio powiedział:

— Ty, Clemente, postarasz się o Mariovy nóż — a ty Bruno bądź z Mario jak najlepiej: on jeszcze nie wie, żeś ty po mojej stronie. Zrób tak, aby poróżnić go z Giovanną. Sądzę, że nie będzie to dla ciebie trudne zadanie. Kiedy się wszystko uda, będziemy mogli wkrótce Maria obwinąć, a potem, kiedy już zostanę starostą, urządzimy wieś według naszego porządku, a wy będziecie dozorcami.

Śmiali się i śmiali jeszcze głośniej, kiedy wypróżnili czwarty kubek wina.

Nie trzeba było długo czekać — kiedy Clemente zjawił się u Maurizia z wielkim Mariowym nożem. W kilka dni później rozeszło się po Pascarivie, że Giovanna w nocy puszcza do siebie Pietra — a wkrótce po tym, rano, gdy Mauriziova drużyna wyruszyła na morze, pod skałami, niedaleko tych dwu

---

*) Jedno z ośmiu opowiadań (tytuł oryginału: **Bremeno**) słowackiego pisarza katolickiego Jana Motulko, zamieszczone w tomie pod ogólnym tytułem „Z ognia i krwi". Pierwszy tom prozy J. Motulki, autora dwu zbiorków poetyckich, zapowiada rzetelny rozwijający się talent prozatorski. Tematem opowiadań jest zawsze człowiek, człowiek prawdziwy, taki, jakiego realnie spotykamy w życiu. Motulko stara się spoglądać „z wnutornej strany" — na wieczne problemy życia ludzkiego.

pinii, znaleziono bladą Giovannę z przebitym sercem. Nóż miała jeszcze w piersiach, a w kąciku ust zaschniętą krew.

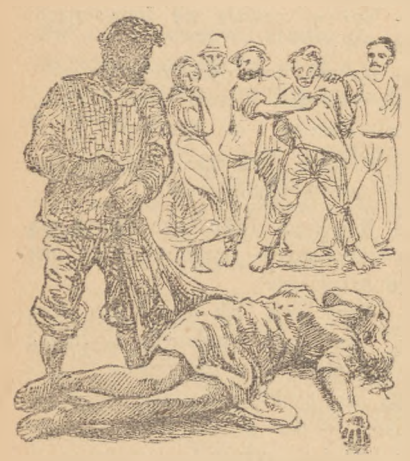

Wnet przybiegł chłop do wsi, a Maurizio, Clemente, Bruno i Filippo zostali przy martwej. Przybiegły kobiety, zaczęły lamentować — a już prowadzili Maria bladego, poszarpanego, z siniakiem na twarzy, z opuchniętym okiem...

— Morderca! — krzyczał Maurizio i pokazywał pięścią na Maria.

— Morderca! Morderca! — skrzeczeli Clemente, Bruno i Filippo. Szarpali go za odzież, za włosy i za spętane ręce. Mario nie bronił się, nawet nie spojrzał na swych oprawców. Klęknął na ziemi pod pinią, chwycił czarną głowę w trzęsące się dłonie i szepnął:

— Giovanna...

Ale głowa nie ożywiła się, oczy nie obróciły się ku niemu i piersi się nie uniosły.

— Związać go całego! — krzyczał Clemente.

Mario spojrzał w jego stronę i rzekł:

— Pies!

Nic więcej. Tylko to jedno słowo.

— Mocniej mu zwiążcie ręce i na nogi dajcie mu powrozy!

— Obwieście go zaraz, tu na pinii!

— Widzicie, teraz możecie się dobrze przypatrzeć, jakiego dobrego i poczciwego starostę mieliście, który utopił nóż w piersiach Giovanny! — krzyczeli rozjuszeni Mauriziovcy.

Ludzie stali, nikt nie powiedział ani słowa. Stali, jak czarna chmura, niema, groźna. Po tym się słabo poruszyli, gdy Maurizio wyciągnął z piersi Giovanny Mariowy nóż i taki zakrwawiony pokazywał zebranym.

Maurizio badał Maria w mieście i badał go we wsi. Mario nie wiedział, jak się wytłumaczyć. Ano — nóż istotnie jest jego, poznaje go dobrze i nie tai tego. Tylko teraz, ostatnio, gdzieś mu się zapodział, zginął. Z Giovanną się posprzeczali, to prawda, ale o drobne głupstwo — przecież nie tak, żeby ją musiał zabić. Czy czuje się winien? Nie, nie, nie czuje się. Kto ją zabił? Na pewno któryś z tych złoduchów z otoczenia Mauriazia albo i sam Maurizio.

Nie pomagało odwoływanie się do sprawiedliwości. Były tu całkiem jasne poszlaki: kłótnia z Giovanną i wreszcie ten nóż. Tak, ten nóż! Wnet Maria złożyli z urzędu, a nowoobrany na jego miejsce Maurizio według starych zwyczajów i przepisów zasądził go na powieszenie.

Wywlekli go ze wsi pod pinie i założyli mu na szyję stryczek. Sądzili, że będzie gryźć, kopać, drapać, ale Mario nie dobył z siebie ani słowa. Był spokojny, tylko trochę blady — a ludzi, którzy się na niego gapili, od razu chwyciła wątpliwość, czy ten człowiek jest istotnie mordercą. Według zwyczaju i prawa przy egzekucji powinien być obecny starosta, ale Maurizio wymówił się jakoś, a na jego miejsce, jako radni świadkowie, przybyli Clemente i Bruno.

Nie bawili się długo. Wciągnęli go na drzewo, gdy na wschodzie, nad morzem pojawiła się siwa pręga. Kiedy się bardziej rozwidniło — Mario nie dawał już znaków życia.

Cała wieś była obecna przy egzekucji, podobnie jak wtedy, gdy Mario puszczał się łodzią podczas burzy ku Skorpionowi. Każdy uświadamiał sobie, że śmierć tego człowieka nie jest dla wsi ulgą, ale zupełnie przeciwnie, ta śmierć gniecie ich jak czarna, ciężka chmura, ciąży i nie daje odetchnąć. Jakby na piersiach siadła straszliwa zmora i nie dozwalała na oddech.

Czuł to Maurizio, sędzia, czuli to urzędowi świadkowie Clemente i Bruno, ale chyba najwięcej czuł to Filippo, kat. Mauriziowi gorzały małe oczki, kiedy siedział sam przy kubku wina w swej małej izbie i delektował się swymi samolubnymi myślami.

— Widzisz, Mario, głupcem byłeś, kiedy mi się chciałeś tak hardo przeciwstawiać. Na cóż ci się przydała odwaga? Na cóż ci była siła? Ani jedno ani drugie nie pomogło ci. I po cóż chciałeś być sprawiedliwy. Cóż ci z tego przyszło, że twoi ludzie słuchali cię — a teraz przecie uwierzyli temu, co ja uznałem za słuszne i sprawiedliwe?

Clemente i Bruno porozpinali kołnierze przy kurtach, bowiem zdawało się im, że się zaduszą przy patrzeniu na człowieka, co miał tak spokojną śmierć.

Filippo ukradkiem zerkał na swe ręce, aby się każdym nowym spojrzeniem przekonać, że na nich nie widać krwi. W tej chwili nie wiedział, czy jest katem tego mordercy, który wisi na drzewie, czy też jest sam mordercą niewinnego, który został we wspomnieniu wioski. Spojrzał jeszcze na Maria, czy jest naprawdę martwy i gdy tej swojej ostatniej powinności dokonał, spuścił ciało na ziemię i odszedł, jakby chciał z siebie strząsnąć wszelką odpowiedzialność za to, co się stało. Za nim ruszyli Clemente i Bruno. Nie czuli się bynajmniej zwycięzcami. Odchodzili jak winowajcy, którzy myślą o tym, że każdy może na nich odczytać tę winę. Odchodzili jak wodzowie, którzy się hańbią przy przeglądzie swych rozbitych legionów. Czapy nasadzili głęboko na czoła kryjąc przed ludźmi oczy.

Ludzie stali. Nikt się nawet nie poruszył. Wreszcie wyszła z tłumu Mariova matka, staruszka Francesca, uklękła przy synu, schyliła się głęboko nad nim aby nikt nie dojrzał łez — i zaczęła się modlić.

Ludzie nie uświadamiali sobie, co czynią. Chcieli strząsnąć z siebie brzemię, które ciążyło na nich śmiercią tego człowieka. Nie myśleli o tym, że przyszli tu uświetnić śmierć mordercy. Nie myśleli o tym, że jest coś tajemniczo dziwnego w tym, że nie cieszą się, że się szalenie nie cieszą. Kiedy ujrzeli matkę Mariovą, jak klękła przy synu — padli naraz wszyscy na kolana, jak gdyby na jakiś wyższy rozkaz i poczęli na głos modlić się modlitwą, której dotychczas nigdy nie znali. Modlitwą serca.

Na wschodzie przybywało światła. Na spokojnym morzu bujały się fale, barwa wody mieniła się — z czarnej, ciemnofioletowej, szarej w zieloną i niebieską — i naraz rozlał się po wodzie złoty wschód. Szedł od horyzontu i zalewał całe morze od miejsca, gdzie kończą się wody, a zaczyna się niebo aż tu pod pinie. W tej chwili na widnokręgu zjawiła się wielka kula słońca.

* * *

Pod piniami, w kamienistej ziemi, wykopali grób i pochowali Mariove ciało. Starosta Maurizio nie zezwolił na usypanie najmniejszej nawet mogiłki i zabronił wsadzić krzyż nad głową, aby nikt z przechodzących tędy kiedykolwiek nie wiedział, że tu leży człowiek, przeciw któremu on, Maurizio, zebrał dowody winy: martwą Giovannę i zakrwawiony nóż, i którego, według dowodów i według starych obyczajów i praw kazał obwiesić.

Mogiły tedy nie było widać. Nie kwitły na grobie kwiaty i nie stał na nim krzyż. Różni ludzie codziennie tędy przechodzili i nie wspominali, że tu leży martwy. Przecież ludziom wydawało się, że Mario nie odszedł ze wsi.

Prawda, widzieli go wiszącego na pinii jak owoc dojrzały, widzieli, jak mu się gałąź złamała i jak umierał — ale to się tylko tak zdawało. Ten żywy Mario nie umarł. Wydawało się, że chodzi między nimi ale nie cielesny, bo go nie widać, wydawało się, że do nich przemawia, tylko oni nie słyszą, bowiem głos nie z ust wychodzi. Usta złożył pod piniami i nie potrzebuje ich. Inaczej bez ust można przemawiać. Wydawało się, że śledzi każdy ich krok, nie wiedzieli tylko z którego miejsca. Gdziekolwiek chodzili uświadamiali sobie: Mario tu też jest. Cokolwiek mówili, choćby najcichszym szeptem, wiedzieli, że usłyszy to Mario. Nie, takim to sposobem Mario nie był martwy. Owszem, na tej tam gałęzi umarł ktoś, pamiętają to, widzieli to — ale to tak, jakby to był jakiś obcy człowiek. Jakby to był ktoś, kogo nie znali, bo ten prawdziwy Mario, nie ten morderca — lecz ten, który się przedzierał na oczach całej wsi podczas burzy przez Gardło ku Skorpionowi, ten, który był ich starostą, ten tu gdzieś musi być, bowiem jasno odczuwa się jego obecność. Możliwe, że jest tu w którym domu razem z Giovanną. Możliwe, że oto przed chwilką wyruszył na morze założyć sieci i wkrótce z przypływem wróci. Na pewno, na pewno tak będzie.

I Maurizio tak czuje, że Mario każdej chwili naprawdę może powrócić, bo tak jest: Przed świtaniem wcześnie odpływa na morze i kiedy zapada mrok, wieczorami znowu przypływa na ląd. Potem nie ma gdzie iść, gdyż w domu, gdzie bywał on i ojciec jego Nicola i gdzie teraz bywa tylko sama matka Francesca, nikt go nie oczekuje. Matka wie, że nie miałby po co przyjść do domu. Wie i on, Mario, dlaczego do swego domu nie przyjdzie. Przeto przez całą noc, noc po nocy odwiedza wszystkie domy we wsi oprócz swojego. Na początek, w pierwszy wieczór przyjdzie do rodziców Giovanny i powie im:

— Dobry wieczór, ojcze! Dobry wieczór, mamo! Jeszcze nie śpicie? Nie bójcie się, to jestem ja, Mario. Niosę wam pozdrowienie od Gioanny. Byliśmy razem na morzu a później, po zachodzie słonka, siedzieliśmy chwilę pod piniami. Wiecie, póki nie nadszedł gęściejszy mrok. Co mówicie? Jak? Nie, nie. Giovanna nie ma przebitego serca. Że co? Nóż? Ano, to był mój, tak jest, mój własny ale spójrzcie na moje ręce. Spójrzcie, spójrzcie uważnie: są całkiem czyste. Nie ma na nich ani kropli krwi. Jeśli chcecie, może wam to Giovanna sama potwierdzić. Chcecie. Mogę ją zawołać. Dobrze, powie sama, aby was przekonać, że prawda jest po stronie mojej. Giovanna, Giovanna, chodź-no. Masz wydać świadectwo. Słyszałaś, co mówiłem. Twoja matka mi jeszcze nie wierzy. Trzeba, abyś zmyła wszelkie wątpliwości swymi własnymi słowami.

— Tak jest, mamo, był to nóż Maria, ja wiem o tym, jak się to stało, ale nie mogę jeszcze zdradzać całej prawdy. To tylko wam powiem, że ktoś inny ma zakrwawione ręce. Chcecie wiedzieć kto? Nie, tego ja nie mogę powiedzieć. Rozejrzyjcie się sami po wsi. Myśmy byli nauczeni chodzić z rękami tak, aby je każdy widział. Dzisiaj są już inne obyczaje. Mówię wam jeszcze raz: rozejrzyjcie się dobrze. Zobaczycie, kto od naszego odejścia najbardziej kryje swe ręce.

Potem mówi Mario:

— Tak, teraz już wiecie. Własnej córce musicie uwierzyć. No, ale ostańcie z Bogiem. Śpijcie spokojnie. I więcej się już nas nie bójcie, gdybyśmy wiedzcie, co chcecie. — skrzypi zachrypniętym głosem i klęka przed nimi na kolana.

któregoś wieczora przyszli jeszcze na pogawędkę. My jesteśmy jeszcze ciągle w Pascarivie. Już pójdziemy, mamy jeszcze wizyty. Z Bogiem.

Wezmą się za ręce, zupełnie tak, jak kiedy powracali z miasta po sprzedaży ryb i idą dalej.

Tu mieszka Filippo. Nie namyślają się długo. Spojrzą na siebie, uśmiechną się i wejdą.

— A, dobry wieczór, Filippo! Co to, jeszcze nie śpisz? — dogaduje mu Mario — A gdzie-żeś zgubił powróz z wisielca? Nigdzie go nie widać w twoim domu. Niedobrześ zrobił Filippo, żeś mi go na szyi pozostawił. Powinieneś sobie zabrać powróz. Wiesz, na szczęście. Ale, ale, Filippo, czemu się chowasz? Czy się mnie boisz? Spójrz, jestem martwy, naprawdę martwy, to ty o tym wiesz najlepiej. Abyś się o tym przekonał, że tak jest istotnie, położę swą zimną dłoń na twoim rozpalonym ciele. Popatrz, nieprawda? Chcesz się może jeszcze więcej rozgrzać? Tak? Wypij sobie tedy jeszcze jedną czarkę.

Filippo nalewa. Przeciera rękami oczy:

— Odejdź, przeklęty! Odejdź precz!

— Idę, idę, kiedy chcesz — mówi Mario — ale to nie znaczy, abym się ciebie zląkł. Tylko dlatego, że dziś mamy jeszcze wiele pracy. Jeszcze wiele podobnych odwiedzin. Do zobaczenia, Filippo.

Tak to chodzą po wsi. Oglądają sobie domy, potem mrugają na siebie, jakby chcieli sobie powiedzieć, że oboje jednako myślą — i wchodzą do niektórych domów. Inne zaś omijają.

Tak to się zatrzymali za drogą, gdzie przy krzywym drzewie jest domek z małymi okienkami. Mario mówi:

— Giovanno, czy się nie boisz? Wejdziemy?

— Bać się? Żartujesz, Mario? Od czasu, kiedy mnie przewalili i kiedy mi błysnął nóż, nie mam się już czego bać. Już nic mi nie mogą uczynić. Chodźmy.

— Dobry wieczór, Clemente! — wita Mario.

— Dobry wieczór, Bruno! — szepcze Giovanna. — Nie chowaj się, Bruno, siedź, bądź spokojny, to tylko ja jestem, Giovanna, przecież poznajesz mnie. A to jest Mario. I jego znasz, prawda? Przyszliśmy was zobaczyć. Posiedzimy tu chwilkę. Nie wyrzucicie nas?

— Czego chcesz tu, Giovanna? — pyta się trwożliwie jeden i głos mu drży.

— Czego tu chcesz, Mario — pyta się ten drugi, wpatruje się w próżnię i blednie. — Myśmy was nie wołali... Nikt was nie wołał...

— Ale myśmy sobie ot tak przyszli — odpowiadają. — Wiecie, za dnia nie możemy. Wyruszamy na morze, ale noc mamy wolną. Tak i tu przyszliśmy.

— Przecie nie możecie być tutaj. Ty, Giovanna, ty leżysz pod pinią, i ty, Mario, też. Dlaczegoście tam nie zostali?

— Nikt jakoś nie wierzy, że ja tam leżę — mówi Mario. — Sam wiesz, że tam nie mam grobu. Wiesz, że pod piniami nie kwitną kwiaty jak na innych grobach, ani krzyża tam nie ma, jak to bywa zazwyczaj nad martwymi ciałami. Jak tedy możemy tam być? U was jest dość miejsca, myślę, że na tę noc zmieścimy się przy was. Bo gdzież indziej mielibyśmy iść.

— Do czarta, do czarta! Precz! — krzyczy Clemente i wyciąga nóż.

— Ach, Mario, twój nóż! Spójrz, spójrz tylko — mówi Giovanna.

— Widzę, Giovanno, widzę.

Potem zwraca się do tych dwu w izbie:

— Dlaczego się tak boicie? Przyszliśmy przecież całkiem spokojnie i bez broni. I ty, Clemente, odłóż ten nóż. Czy może chcesz nim pchnąć? Dobrze, pchnij tu! — i nadstawia mu pierś. — No? Boisz się? Czy nie masz już odwagi? A wobec Giovanny miałeś?

— To nie ja. Wiesz, że dostałem rozkaz.

— Aha, rozkaz! Wiem, a zdradzisz od kogo?

— Jeszcze się pytasz? Wiesz dobrze, że Maurizio...

— Ano wiem, i do niego zajdziemy, ale jeszcze mamy czas. Przy was czujemy się całkiem dobrze.

— Ale byliście tu już wczoraj. I przedwczoraj — mówi Bruno, zalany potem. Wielkie krople potu ściekają mu z ciała i cały trzęsie się.

Znów powtarza:

— Byliście tu już raz, już się dosyć wycierpieliśmy. Moglibyście już odejść.

— Pójdziemy — mówi Mario — ale mylisz się, gdy sądzisz, żeście się już dość wycierpieli. Jeszcze powrócimy. Wiecie, noce są nam długie od wieczora do rana. Teraz was zostawimy w spokoju. Jeszcze mamy odwiedziny na dzisiejszą noc. Do zobaczenia jutro!

Wyszli i Mario pokazuje:

— Spójrz, Giovanno, w domu Maurizia świeci się jeszcze choć już północ. Do niedawna chadzał spać wcześnie.

— Wiem, ale chodźmy, aby nie tracić czasu. Tu posiedzimy sobie do rana a później pójdziemy na morze. Weźmiemy już i Maurizia.

— Sądzisz, Giovanno, że już dziś?

— Tak, Mario. Na cóż czekać? Będziemy mieć jeszcze wiele roboty z innymi.

Weszli. Maurizio w półśnie siedział za stołem, głowa chwiała mu się w podpartych rękach, po ziemi walały się rozrzucone butelki a przy Mauriziu stał jeszcze pełny kubek.

Gdy weszli drzwi się nie otworzyły ani nie zamknęły, ale Maurizio wybił się z drzemki i krzyczy:

— Kto tu jest?

— To my, Maurizio.

— Kto wy?

— Ej-że, Maurizio, czyżbyś miał taką krótką pamięć i tak słabe oczy, że nas już nie poznajesz? To jest Giovanna i ja, Mario. Dobry wieczór!

Maurizio siadł i napił się z kubka. Siedział cicho, a Giovanna i Mario stali przy nim. Też cicho. Nikt nie powiedział ani słowa, wreszcie Maurizio nie wytrzymał:

— Czego chcecie? Nie dość wam, żeście mnie już dwie noce całe męczyli? Czego jeszcze chcecie, czego jeszcze chcecie?

— Tylko ciszej, Maurizio, ciszej. Widzisz, my nie krzyczymy. Dlaczego gniewasz się, kiedyśmy ci nic złego nie uczynili?

— Czego chcecie? To tylko mi po-

(dokończenie na str. 12)

TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

W Warszawie

21 sierpnia w rocznicę śmierci Hibnera, Rutkowskiego i Kniewskiego, członków KPP i KZM zostanie na stokach Cytadeli odsłonięty pomnik tych trzech wielkich działaczy i bojowników robotniczych.

×

W dniu Święta Odrodzenia szef niemieckiej misji dyplomatycznej wręczył urzędującemu wicemarszałkowi Sejmu upominek Izby Ludowej niemieckiej Republiki Demokratycznej dla Sejmu Ustawodawczego RP w postaci wazy porcelanowej wykonanej w słynnej fabryce w Miśni, ozdobionej podpisem Chopina i pamiątkowym napisem.

×

1 września w gmachu przy ul. Konopnickiej (dawny gmach Polskiej Ymca) otwarty zostanie pierwszy w Polsce Młodzieżowy Dom Kultury, w którym znajdą pomieszczenia sale klubowe, sala teatralna, warsztaty, laboratoria, sale gimnastyczne itp.

×

5 sierpnia zmarł w Warszawie Tadeusz Kański realizator filmu „Czarci żleb", odznaczony Nagrodą Państwową 1950.

×

W intensywnej odbudowie znajduje się obecnie Rynek Starego Miasta. Roboty prowadzone są między Piwną, Waskim i Szerokim Dunajem, Barbakanem i Baszta Marszałkowską. W odbudowie znajduje się sześćdziesiąt kilka obiektów, z czego 30 ukończonych będzie w stanie surowym jeszcze w roku bieżącym. M. in. odbudowuje się kamienice Fukiera i Książąt Mazowieckich, w których znajdzie pomieszczenie Towarzystwo Historyczne.

×

Ukazał się rocznik Statystyczny 1949 z rozbudowanymi działami dochodu narodowego, przemysłu, handlu, pracy i finansów. Po raz pierwszy po wojnie Rocznik zawiera informacje międzynarodowe, ze szczególnym uwzględnieniem krajów demokracji ludowych i Związku Radzieckiego.

×

5 sierpnia cały kulturalny świat obchodził setną rocznicę urodzin świetnego pisarza francuskiego Guy de Maupassant, mistrza noweli naturalistycznej, jednego z najbardziej znakomitych twórców noweli w ogóle. W Polsce, po wojnie ukazało się pięć książek Maupassanta w nowych przekładach (stare były wręcz skandaliczne). Trzy tomy opowiadań („Opowiadania", „Włóczęga", „Spadek") w tłumaczeniach Sowińskiego i Heymanowej, oraz dwie powieści „Historia jednego życia" (przekład Krzaczewskiej) i „Jan i Piotr" (przekład Rogozińskiego.

×

Odbyła się w CRZZ narada korespondentów i redaktorów pism wydawanych przez poszczególne związki zawodowe.

×

Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe ogłosiły zapisy na roczny kurs sztuki cyrkowej. Kurs ten odbędzie się w Warszawie. Rzecz interesująca — większość zgłaszających się stanowią kobiety.

W Kraju

Państwo — po raz pierwszy w Polsce — przejęło całe szkolnictwo korespondencyjne. Państwowe Ogólnokształcące Szkoły Korespondencyjne obejmować będą klasę siódmą stopnia podstawowego oraz VIII, IX, X, XI stopnia licealnego. Kurs jednej klasy trwać będzie w zasadzie jeden rok. Uczniowie zaopatrywani będą w materiały nauczania (podręczniki, skrypty, komentarze, wskazówki) raz na miesiąc drogą pocztowa. Materiał ten mają przerobić samodzielnie, lub w zorganizowanym na miejscu zespole uczniów. Przerobiony być on musi w ściśle określonym terminie. Egzaminy kontrolne — raz na miesiąc lub raz na dwa miesiące. Zorganizowany ma być stały kontakt szkoły z uczniem, uczniowie raz na tydzień muszą zgłaszać się do szkoły. Co dwa miesiące będą uczestniczyć w parodniowych konferencjach z nauczycielami. Szkoły korespondencyjne zorganizowane są w każdym województwie.

×

Po 3 tygodniowym pobycie w Niemieckiej Republice Demokratycznej powrócił do Łodzi zespół świetlicowy z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Harmana. W czasie swego pobytu w NRD zespół urządził 15 występów dla 60.000 widzów.

×

W roku bieżącym prawie wszystkie wydane podręczniki szkolne będą rozprowadzane w tzw. sprzedaży zamkniętej, to znaczy nie będzie ich można nabywać w księgarniach, indywidualnie, lecz tylko przez kierownictwo szkół, zbiorowo, za pośrednictwem punktów sprzedaży „Domu Książki".

×

Wszystkie filharmonie państwowe wzięły udział w uroczystościach uczczenia 200 rocznicy śmierci J. S. Bacha. Utwory Bacha były wykonane na 30 koncertach, porankach i specjalnych koncertach dla młodzieży szkolnej. W Poznaniu Filharmonia dała 9 koncertów bachowskich, w Krakowie — 7 koncertów. W koncertach bachowskich wzięli udział pianiści Drzewiecki, Ekier, Woytowicz, Hoffman oraz skrzypaczki Dubiska i Umińska. Koncerty bachowskie kontynuowane będą również w sezonie nadchodzącym.

W Poznaniu w październiku br. Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje konkurs bachowski dla uczniów szkół muzycznych średnich i wyższych. Obejmie on działy fortepianu, skrzypiec, wiolonczeli, klawecynu, śpiewu, zespołów kameralnych, orkiestry i chórów.

×

W Poznaniu zmarł profesor Wydziału Farmaceutycznego W. J. Strażewicz.

×

W pierwszych latach po wojnie rozpoczęto prowadzenie na dużą skalę prac archeologicznych mających za zadanie zbadanie procesów społecznych i historycznych łączących się z powstaniem Państwa Polskiego. Przed dwoma laty powołane zostało jednolite kierownictwo badań nad początkami Państwa Polskiego. W tej chwili prowadzi się prace wykopaliskowe w 29 miejscowościach. W Wielkopolsce — w Poznaniu, w Ostrowiu Tumskim i na Górze Przemysława, na Ostrowie jez. Lednicy, w Gnieźnie, Gieczu, Biskupinie, Trzemesznie, Łęczycy, Kruszwicy, Inowłodzu, Lutomiersku, Strzelnie, Kaliszu. Na Pomorzu — w Gdańsku i w Szczecinie. Na Śląsku — we Wrocławiu, Cieszynie, Opolu, Niemczy, Sobótce, na Górze Ślęży i na Wałach Śląskich. W Małopolsce — na Wawelu, w Tyńcu i w Wiślicy. Na Mazowszu — na Zamku Warszawskim, w Bródnie Starym, w Rokitnie, w Inowłodzu.

Badania doprowadziły do nader ciekawych rezultatów.

×

Na Harendzie pod Zakopanem odbudowano zabytkowy kościół drewniany z XVI wieku przeniesiony ze wsi Zakrzew koło Kalwarii Zebrzydowskiej.

×

Miejska Rada Narodowa w Krakowie prowadzi ważne roboty konserwatorskie: jak — kapitalny remont i odbudowa pierwotnego stanu murów miejskich z XIII — XV wieku, odkrycie zachodniej fasady i ogrodzenia kościoła św. Andrzeja z XI wieku, odnowienie witraży dominikańskich, konserwacja i odkrycie malowideł krużganków kościoła św. Katarzyny, zabezpieczenie czterech domów oraz synagogi w dzielnicy Kazimierz. Na terenie województwa zabezpieczono mury Opactwa w Tyńcu, oraz odbudowywane są zamki w Niedzicy, Księżu Wielkim i inne.

×

W nocy z dnia 1 na 2 sierpnia br. o godzinie 1, piorun uderzył w wieżę kościoła pokatedralnego w Chełmży k. Torunia, wywołując pożar, w którym całkowicie spłonęła ta wspaniała świątynia, należąca do najstarszych kościołów w Polsce. Rozpoczął ją budować biskup chełmiński Henryk w 1251. Świątynia utrzymana w stylu gotyckim posiadała trzy barokowe wieże dobudowane w 1699 r.

×

Czterej młodzi robotnicy wrocławscy Śliwa, Rękawek, Uryga i Walczak, którzy w swych zespołach świetlicowych wykazali duże zdolności taneczne, zaangażowani zostali do baletu Opery Wrocławskiej.

×

W Bydgoszczy zmarł artysta dramatyczny Stefan Lochman, mający za sobą 55 lat pracy scenicznej.

×

Stary Teatr w Krakowie wystąpił z premierą wodewilu Władysława Krzemińskiego pt. „Złote niedole", będącego znakomicie zrobioną przeróbką popularnego niegdyś wodewilu Nestroya „Trójka hultajska". Muzyka Klucznioka. Jedną z ról głównych gra Antoni Fertner.

×

W Piotrkowie powstał Teatr Lalek pt. „Sezam".

×

W Krakowie nastąpi od września połączenie dotychczasowej Akademii Sztuk Pięknych i Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w nową Akademię Sztuk Plastycznych, posiadającą wydziały: malarstwa, rzeźby, grafiki, scenografii, konserwacji, architektury i włókiennictwa.

×

Krakowskie Muzeum Przemysłu Artystycznego włączone zostało w administrację Muzeum Narodowego, przy którym utworzono dział przemysłu artystycznego.

Z Teatru Lalek w Krakowie wyruszyła pierwsza w Polsce artystyczna ekipa rowerowa, która objedzie wszystkie miejscowości i uzdrowiska województwa krakowskiego dając przedstawienia kukiełkowe. Ekipa składa się z pięciu rowerzystów, na przyczepkach rowerowych znajdują się lalki i urządzenia sceniczne.

×

W Krakowie otwarto wystawę Dawnych Warowni Krakowa. MRN podjęła prace na większą skalę zmierzające do przywrócenia istniejącym fragmentom warowni floriańskiej ich średniowiecznego monumentalnego charakteru oraz stopniowej odbudowy dawnych warowni na innych odcinkach. Dawne mury krakowskie zburzone zostały dopiero w latach 1809 — 20. W tamtym czasie Kraków obok Carcassone i Norymbergi należał do niewielu miast, które w Europie zachowały swój średniowieczny charakter.

×

W Kalwarii Zebrzydowskiej otwarta została doroczna wystawa gospodarcza t. zw. „Targi Kalwaryjskie".

Zagranica

Czterej młodzi robotnicy św. Kolumbana

W Luxeuil we Francji, od dnia 21 lipca br., odbywały się uroczystości ku uczczeniu tysiąc czterechsetnej rocznicy urodzin świętego Kolumbana, wielkiego apostoła Irlandii, przeniesione z roku 1940, kiedy przeszkodziła im wojna. Na uroczystościach obecni byli liczni przedstawiciele irlandzkiego Kościoła Katolickiego. Po procesji odsłonięto pomnik św. Kolumbana, a Comedie Française wystawiła dramat osnuty na tle jego życia. Święta Kongregacja Obrządków rozpatruje petycję, żeby imię św. Kolumbana zostało wprowadzone do kalendarza Kościoła Powszechnego. Petycję zgłosił arcybiskup z diecezji Besancon przy poparciu wielu wybitnych przedstawicieli hierarchii irlandzkiej.

***

Rzym w roku Jubileuszowym

W Bazylice Konstantyńskiej w Rzymie konsekrowano ostatnio siedem ołtarzy, w tym ołtarz poświęcony św. Piotrowi był konsekrowany osobiście przez Ojca św. Większość tych ołtarzy nie jest nowego pochodzenia, ale uległy tak gruntownemu przerobieniu, że konieczna była powtórna konsekracja. Ołtarz św. Piotra był po raz pierwszy poświęcony w IV wieku przez papieża Sylwestra I, następnie w XII wieku przez Kalista II, a po raz trzeci przez Klemensa VIII na początku XVII wieku. W wigilię święta Piotra i Pawła Ojciec Święty, przed miejscem grobu św. Piotra, pobłogosławił palia, które miały być wysłane do świeżo wyznaczonych arcybiskupów.

***

Niemiecki Kongres Liturgiczny

W czerwcu br. odbył się we Frankfurcie nad Menem katolicki kongres liturgiczny, który zgromadził 800 duchownych. Jest on ważnym etapem dla życia liturgicznego. Jego problematyka wiąże się z tematami kongresu w Lionie z 1947 roku. Uczestnicy kongresu rozważali najbardziej podstawowe zagadnienia liturgii. Kongres zakończył się oficjalnym ogłoszeniem czterech życzeń przedłożonych autorytetowi Kościoła do rozpatrzenia; chodzi tam o sprawy następujące:

1. ustanowienie wigilii wielkanocnej. 2. pozwolenie na Msze św. wieczorne nie tylko w niedziele, ale również w dni powszednie, gdy zajdzie tego potrzeba, 3. rozszerzenie dyspensy od postu eucharystycznego, 4. zniesienie czytania i śpiewania po łacinie Listu i Ewangelii podczas Mszy św.

***

ROCZNICA LERMONTOWA

W Piatigorsku, gdzie Lermontow spędził ostatnie lata swego życia, obchodzono uroczyście 109-tą rocznicę jego śmierci. Główne uroczystości odbywały się w muzeum historyczno-literackim, mieszczącym się w byłym domu Wierzilinych, w którym miała miejsce fatalna scena sprzeczki sławnego poety z Martynowym, oraz na stokach góry Maszuka, tam, gdzie się odbył wynikły z tego pojedynek.

W miejskim Parku Kultury urządzono wystawę lermontowską. W szkołach miejscowych ogłoszono konkurs na najlepszy rysunek i wiersz o Lermontowie.

***

UCZCZENIE PAMIĘCI I. S. BACHA W MOSKWIE

28-go lipca t. j. w dzień 200-letniej rocznicy śmierci Jana Sebastiana Bacha, odbyła się uroczysta Akademia w Moskwie, w wielkiej sali im. Czajkowskiego w tamtejszym Konserwatorium, w celu uczczenia pamięci największego kompozytora świata. Akademia ta zorganizowana została wspólnie przez Komitet dla spraw sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR, Wszechzwiązkowe Towarzystwo kulturalnej łączności z zagranicą oraz Związek sowieckich kompozytorów.

***

WYPRAWA NA SZCZYT GÓRY ELBRUS

Donoszą z Piatigorska, że w ostatnich dniach grupa profesorów i studentów-alpinistów z pedagogicznego Instytutu w Piatigorsku, przedsięwzięła w liczbie 22 osób, mimo bardzo niekorzystnych warunków atmosferycznych, trudną wspinaczkę na najwyższy miejscowy szczyt Elbrus. Wyprawa udała się.

***

MUZYKA ARMENII

Donoszą z Erywania, że na Wydziale teorii i historii sztuki Armeńskiej Akademii Nauk, przygotowuje się dwutomową pracę poświęconą historii muzyki armeńskiej. Dzieło to, którego pierwszy tom już jest oddany do druku, obejmuje historię muzyki od najdawniejszych czasów i najprymitywniejszej melodii aż do czasów współczesnych.

Oprócz tego wydawnictwa — przygotowuje się jeszcze do druku i inne prace na takie tematy z tej dziedziny, jak n. p. analiza form instrumentacyjnych najwybitniejszego kompozytora armeńskiego A. Spendiarowa, znaczenie armeńskiej pieśni ludowej w dziełach kompozytorów, wpływ muzyki rosyjskiej na utwory muzyczne armeńskie, i szereg innych.

***

WYSTAWA CHIŃSKICH DZIEŁ SZTUKI

W państwowym muzeum w Kijowie, otwarto wystawę malarstwa, rzeźby, grafiki i przemysłu artystycznego Chin. Wystawione zostały obrazy, rzeźby, wzory sztuki dekoratywnej, hafty i tkaniny, artystyczna porcelana i bronzy, a wreszcie rzeźby w kości i na kamieniu.

Pośród eksponatów znajduje się również kilka niezmiernie cennych unikatów starego malarstwa.

W specjalnej sali umieszczono obrazy współczesnych malarzy chińskich, przedstawiających walkę ludu o wyzwolenie narodowe i społeczne. Wystawiono również barwne rysunki na drzewie.

***

Stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo

W Paryżu od 15 — 19 lipca odbyło się plenarne zebranie Głównej Rady Stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo, pod przewodnictwem J. Zeillera, głównego przewodniczącego.

Nowość *Nowość*

JANA DOBRACZYNSKIEGO

opowiadania

NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

ukazały się nakładem Sp. Wyd. „PAX" Inst Wyd

Skład główny: **Zdzisław GUSTOWSKI, Poznań św. Marcina 34.**

„Veritas", Warszawa, ul. Widok 5.

OSTATNIE GODZINY PIOTRA FRASSATI

(dokończenie ze str. 5)

jednym rytmem pieśni żałobnej. I tak w ostatnim momencie Bóg wysłuchał jego prośby, by zawsze być jednym wśród wielu.

Zmarł w sobotę, w dzień trium fu swoich urodzin. Ubrano go wkrótce w ciemne wizytowe ubra nie, którego nie znosił i które zawsze z niechęcią wdziewał, gdy musiał brać udział w jakiejś uroczystości, czy zabawie. Raz włożył je jedynie bez przekory, — a było to w dzień Kongresu Eucharystycznego w Turynie, kiedy należał do straży honorowej przy celebrancie niosącym Przenajświętszy Sakrament.

A oto dokument życia Piotra Jerzego Frassati, list pisany do rodziny i przyjaciół zmarłego w Turynie, 21 czerwca 1924 r. w okresie powstawania hydry faszyzmu, która mackami swymi oplotła naród włoski i trzymała go w śmiertelnym uścisku.

List ten pisany przez dwudziestoczteroletniego młodzieńca, jakże wnikliwie świadczy swą prostotą i szczerością o głębokiej religijności, moralności i politycznej mądrości Frassatiego, który umiał zawsze przeciwstawić się panoszącemu się złu.

Kochany Tonino!

W tym czasie, gdy zbrodnia i niegodziwość przejawia i rozprzestrzenia się u nas w najohydniejszych formach, jakże miło mi powrócić pamięcią do ubiegłych dni spędzonych wspólnie. Przypominam sobie okres pierwszych po wojnie (1918) wyborów, narodziny faszyzmu... jakże dumny jestem iż już wtedy nie daliśmy się zwieść ani na moment temu zbrodniczemu ruchowi, lecz od początku zwalczaliśmy tę hańbę naszego wieku i naszej Ojczyzny, a obecnie, gdy ta partia wiedzie nasz naród do zguby i przepaści możemy dziękować Bogu, iż użył osoby posła Mateottiego, aby zrehabilitować naród włoski i wykazać światu, że zbrodnie faszyzmu nie obciążają całego narodu włoskiego.

Jesteśmy dumni i szczęśliwi, dzięki Dobroci Boga, iż znaleźliśmy się na właściwej ścieżce żywota, a jeśli kiedy zbaczaliśmy z niej to natychmiast znowu powracaliśmy na tę jedyną drogę życia, która aczkolwiek nie daje wszystkich rozkoszy życia, to jednak stwarza szczęście wewnętrznego spokoju, wskutek postępowania zgodnego z sumieniem i przykazaniami naszej wiary, zapewniającej nam triumf i wiekuistą radość w życiu przyszłym.

Wasz Piotr Jerzy.

Przełożył z włoskiego mdd.

KRZYŻ I SZTANDARY

(dokończenie ze str. 3)

Europa i Ameryka podporządkowały sobie rozległe terytoria. Podzieliły glob. Metropolie, z wyjątkiem jednej Japonii, były chrześcijańskie. Stąd dla działalności misyjnej okazja i łatwość płynięcia na fali imperializmu. Okazja aż nazbyt niebezpieczna, co nie zawsze spostrzegano. Św. Paweł nawracając świat starożytny nie podróżował w taborach legionów rzymskich.

Za naszych czasów fala imperializmu odpływa, nie pozostawiając po sobie w ziemiach „kolorowych" zbyt miłych wspomnień. Być może niedaleki już jest ten dzień, kiedy ostatni biały będzie musiał zrezygnować z roli dumnego sahiba, albo przesiedlić się w kraje lepiej pod względem klimatu odpowiadające jego naturze.

Zmierzch ustroju kolonialnego stawia całą działalność misyjną wobec wielkiego problemu, który jednakże tylko pozornie wygląda na możliwość prawie katastrofy. Bo w gruncie rzeczy upadek imperiów oznacza tylko usunięcie tych niezdrowych okoliczności, jakie się wskutek określonych warunków historycznych wytworzyły. Naprawdę — to co wydaje się być ruiną podpory — należy chyba uważać tylko za obalenie przegrody. Bo przegrodą właśnie jest faktyczny sojusz krzyża misjonarskiego ze sztandarem białego okupanta. Ta prawda wynika całkiem jasno z opowiedzianych powyżej fragmentów życiorysu o. Lebbe.

Paweł Jasienica

NA ZAMÓWIENIA KIEROWANE DO ADMINISTRACJI „DZIŚ i JUTRO" SP WYD „PAX" WYSYŁA POWIEŚĆ BRUCE MARSHALL **CHWAŁA CORY KRÓLEWSKIEJ** PROSIMY O WPŁATĘ ZŁOTYCH 750 za EGZ. NA KONTO PKO I-8515 LUB PRZEKAZEM POCZTOWYM

SUMIENIE

(dokończenie ze str. 10)

— Nie klękaj, Maurizio! — mówi mu twardo Mario. — Nie przystoi klękać przed nami.

— Tylko to mi powiedzcie, co chcecie ze mną... — i kurczy się w boleści.

— Powiedzieć, Giovanno? — pyta Mario narzeczonej.

— Powiedz mu, Mario, będzie lepiej, jeśli powiesz mu od razu.

Mario milczał przez chwilę, a potem powie twardym głosem:

— Zważ zatem Maurizio: kiedyś ludzie oskarżali cię, żeś tchórz. To nie jest prawda. Dziś rano pokażesz, że mylili się w sądach o tobie. Ty pójdziesz o brzasku na morze, będzie burza — ale nie bój się, my będziemy przy tobie.

— Łaski, na Boga, łaski, Mario, ja się boję...

— Ależ Maurizio, ty się boisz? Starosta nie może się bać!

— Nie, nie pójdę, Mario — wymawia się Maurizio. — Mam marne czółno, brak mi porządnych wioseł, sam nie podołam w czasie burzy.

— Maurizio, nie bądź tchórzem! My będziemy z tobą. Czegóż się masz bać?

— Was się boję!

— Nas? — pyta Giovanna. — Myśmy nikomu nic złego nie uczynili, ani Mario, ani ja. I wiesz — Mario nie boi się burzy. To już raz widziałeś, dlatego nie potrzebujesz się przy nim bać.

— Nie mam odpowiedniego ubrania na burzę.

— Nie potrzeba, Maurizio. Ani czółna ani wioseł ci nie trzeba. Ale nie będziemy na próżno gadać. Spójrz, już się dźwiga wiatr, szykuj się...

Maurizio ciężko dźwignie się ze stołka i nagle bez sił osunie się z powrotem. Potem chwyci do garści kubek i wychyli. Ale nie wstaje, póki go Giovanna z Mario nie chwycą za oba ramiona. Wstanie, jakby nie miał własnych sił i idzie w mrok. Z jednej strony kroczy Mario — z drugiej Giovanna.

— Ostrożnie, Maurizio, abyś się nie potknął o kamień, jest tu ich wiele a nie idziesz zupełnie po ścieżce — dogaduje mu Mario. — Widzisz, już i zaczyna padać — będzie bardzo piękna burza. Że nie masz czapy i że ci woda ścieka z czoła do oczu? Nie widzisz drogi? Czapki nie potrzebujesz, gdy jesteś z nami — a z drogi nie damy ci zboczyć.

Idą cicho, tylko tu i tam pod Mauriziovym krokiem osunie się kamień lub zsunie się z chodnika.

Naraz Maurizio przystanie. Próżno go ciągną za ręce, nie ruszy się.

— Maurizio...!

— Nie, obok tych pinii nie przejdę!— spiera się.

— Przecież nie musisz — mówi Mario. — Drogę do morza możesz sobie wybrać, jaka ci się podoba. Jeśli chcesz, możemy iść w lewo, nad tą skałą nad morzem.

— Ano, idziemy, jak chcecie...

Znów cisza, tylko kroki Maurizia skrzypią po ziemi, wiatr od pleców bije z deszczem na kurtę, a w przodzie dziwnie huczy morze.

— Już niedaleko, Maurizio. Już tylko kilka kroków. Jeszcze dwa kroki... jeszcze krok... jeszcze jeden...

— Nie, nie idę dalej, Mario, boję się.

— Już tylko krok, Maurizio, już tylko kroczek. Jak go zrobisz, ślubuję ci, że ci już damy na wieczne czasy spokój. Nie przyjdziemy już ani jutro ani pojutrze. Nigdy więcej. Nieprawdaż Giovanno?

— Tak, Maurizio, możesz wierzyć Mariovi.

Maurizio rozmyśla, czy może to być prawda, waha się i kiwa na skale. Potem nagle powiada zdecydowanie:

— Dobrze tedy. Zrobię, ale nie zapomnijcie, coście mi ślubowali...

* * *

Na lewo od pinii, na tym skalnym pobrzeżu, gdzie płonęło ognisko, gdy Mario w obawie o ojca puszczał się przez Gardło ku Skorpionowi, stoi człowiek. Padają ciężkie, gęste krople deszczu, takie, jakie tylko mogą padać nad morzem. Wiatr dmie, morze huczy i wznosi się.

Człowiek stoi bez płaszcza i bez czapki i patrzy na morze. Chodzi tu — tam, a potem jak szalony rusza prosto do morza.

— Aaaach...

Rozległ się serce rwący okrzyk, wiatr silniej zafurczał, deszcz uderzył większą przygarścią kropel o skały nadmorskie, fale zapluskały. Ale wnet nastała cisza. Okrzyk zginął w pluskocie fal, wiatr odbiegł na morze, deszczowe krople rozbiły się na skałach.

Niemal w tej chwili pojawił się na widnokręgu biały świt i wiatr ustał. Fale się mniej unosiły, jasność rosła w kierunku lądu, barwa morskiej wody zmieniała się pomału z czarnej, ciemnofioletowej, ciemnoołowianej na zieloną i niebieską. Przybywało światła a mroki od morza pierzchały w kierunku lądu. Potem złoty wschód zalał morze: na horyzoncie pojawiła się wielka słoneczna kula.

Od strony Pescarivy przyszli mężczyźni, powsiadali do czółen i wiosłowali na morze. Kiedy przepłynęli przez Gardło i zmierzali ku Skorpionowi, ktoś krzyknął i pokazał ręką miejsce pod skalną ścianą. Obrócili czółna i wiosłowali we wskazanym kierunku.

Na falach, pod skałami, bujał się człowiek.

— Maurizio! — zakrzynął znowu ten sam głos.

— Mau - ri - zi - o... — powtórzyli pozostali.

Morze już się zupełnie uciszyło. Ciało huśtało się na lekkich falach. Topielec głowę miał rozbitą, a słona woda ją obmywała.

Ilustracje: Marek Kononowicz

SPROSTOWANIE

Dwa poniższe wiersze p. Krystyny Konarskiej-Łosiowej, drukowane w nr 31 (245) naszego pisma, uległy pewnemu zniekształceniu z powodu błędów korektorskich. Dlatego obecnie przedrukowujemy te utwory w brzmieniu właściwym.

(Red.)

DROGA NA TARG

Rano na szosie
turkoczą furmanki,
kobiety w białych chustach
idą schylone,
mleko
w bańkach
pluska.

W lesie
jest jeszcze trochę mgły
i trochę rosy na ziołach
Ot tyle
że ten wątły las
jak chłodna szyba
pieści czoło.

Potem drewniane balkony
— balkony i pelargonie,
w gąszczu sosen
cichutko dyszy
sanatorium.

Za stacją targ
pęki zieleni
na niskich stołach
góry czereśni
i marchew krwista,
jak samo zdrowie,
w koszach truskawki
a-na-na-so-we
Stań tu, podumaj
wśród białych serów
może to było celem spaceru
abyś ocenił — wiecznie zziajany —
dostojny spokój
garów śmietany.
Byś namacalnie pod ręką poczuł
subtelną kruchość
jaj w wielkim koszu.
I może, wśród tych
tak zwykłych dziwów,
w tych bujnych barwach
i w tym dosycie
znów trochę więcej zrozumiesz życie
głodne zarówno
wzlotów i pieśni
jak garści słodkich,
złotych czereśni.

Trzeba już wracać
szosa jest twarda
i ostro biała
w wysokim słońcu.
Sosny gorliwie
pachną żywicą
lecz nie osłonią
już od gorąca.

Młoda kobieta
dźwiga dwa kosze
lekko kołyszące się
stąpa ścieżką
Mówi: spał synuś,
gdy odchodziłam,
Ma pani dzieci?
gdzie pani mieszka?
Na białej szosie
spalonej słońcem
życie z uśmiechem
w twarz ci zagląda
i to jest właśnie
rytm jego wieczny
i to jest właśnie
twa wieczna
młodość.

NÓW

Gdy wieczorem wychodzę
by zamknąć okiennice
powieki małego, drewnianego
domku, „na kurzej łapce"
chwyta mnie księżyc
i jak w pułapce
stoję pod krzakiem jaśminu.
A on wtedy
— młody zuchwały nów —
na niebie aż seledynowym od pogody
żąda ode mnie słów
czarodziejskiego zaklęcia
kusi mnie, żądaj, mów
co zechcesz to się wypełni
a ja chcę
— pełni.

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

Redaktor Naczelny Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych
Druk. Skolimowska 5. B-116270